Nr. 7. Lwów, dnia 1. Lipca 1888. Rok XI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Wspomnienia myśliwskie.

Spisał

Ezechiel Berzeviczy.

II.

(Początek karyery myśliwskiej. — Polowania na błotach. — Obfitość słonek w Strupkowie. — Dziś inaczej. — Wycieczka na kuropatwy z arcyksięciem Ernestem. — Kszyki na stół cesarski.)

Po wyjściu ze szkół rozpocząłem moją karyerę myśliwską w Toustobabach. Była to okolica lesista i obfitująca w zwierzynę, nie dziwota więc, że właściciele tego majątku, Bohdanowicze, wszyscy byli zamiłowani w myśliwstwie. Starzy schodzili już z pola, a przecież utrzymywali strzelców i doskonałą psiarnię; zbrojownie ich zaś, składające się z różnego rodzaju przepysznej broni, angielskiej, francuskiej i tureckiej, mogły były zdobić jako osobliwość każdą wystawę.

Były to naturalnie skałkówki — a oprócz tego inne zabytki dawne, przed paruset laty z Armenii wywiezione, jako to: łuki i sajdaki, wyzłacane naczynia, srebrne acz niezgrabne, lecz ogromnej wagi, przechowywane jako pamiątki. Wszystko to, a przytem nadzwyczaj szlachetny sposób myślenia właścicieli, świadczyło, że do wyższych sfer społeczeństwa w Persyi należała ta familia. Z bankructwem Prota Potockiego stracili krocie, a Toustobaby kupione zostały tylko z kapitaliku, w domu na pobieżne wydatki zostawionego.

Moje polowania początkowe ze skałkówkami nie wiodły się bardzo; dopiero z nastaniem kapslówek zadziwiająco postąpiłem. Słonki na ciągu, na który kapslówki pierwszy raz użyłem, padały prawie każda, tymczasem ze skałkówki żadnej w locie nie zabiłem. Odtąd zaliczano mnie do najlepszych tamtej okolicy strzelców.

Starzy Bohdanowicze schodzili już z pola, lecz choć sami rzadko w polowaniach udział brali, lubili o nich gawędzić. Z każdego polowania trzeba im było szczegółowe złożyć sprawozdanie, a przy tej sposobności nieraz usłyszało się jakąś uwagę albo zdrową radę.

Razu jednego, gdyśmy o słonkach mówili, odzywa się jeden z panów, że w całej Galicyi nie ma tak dobrego miejsca na słonki, jak w Strupkowie koło Ottynii. Dawniej, powiada, żył we Lwowie Fiskus Grossmaier, bogaty pan — trzymał strzelca i jeździł każdego roku w jesieni z wyżłem na słonki do Strupkowa. Strzelał tam ich zawsze dużo, a razu pewnego w jednym dniu 80 sztuk we dwie strzelby

upolował. Zapamiętałem sobie tę miejscowość i pomyślałem, żeby też choć raz w życiu Pan Bóg mię tam zaniósł, bom namiętnie lubiał strzelać do słonek.

W lat kilkanaście ziściło się moje życzenie. Już jako geometra za dekretem mierzyłem w r. 1844. Strupków. Majątek ten składał się przeważnie z lichych pastwisk, krzakami olchowymi i brzozowymi zarosłych, przez które trzy potoczki płyną. Gdy nadszedł październik, czas buszowania z wyżłem, odrywałem się na parę godzin od mego zajęcia na to polowanie, a zastrzeliwszy 4 lub 5 par, wracałem do zatrudnienia. Nie potrzebowałem zresztą więcej niż dwa lub trzy razy na tydzień się odrywać, bo na kołkach zawsze było pełno słonek.

W następnym roku, będąc w sąsiedztwie Strupkowa, w Targowicy, podobnym pomiarem zajęty, na początku października pojechałem tam rano z zamiarem polowania przez cały dzień. O godzinie 9. wszedłem w las i polowałem do wieczora, a zastałem taką ilość słonek i zajęcy, że gdy wieczorem ubitą zwierzynę na podłodze rozłożono, narachowaliśmy 40 słonek i 7 zajęcy. Uwierzyłem wtenczas, że pan Fiskus Grossmaier mógł 80 sztuk w dwie strzelby jednego dnia upolować.

Polowałem tam jeszcze raz w dniach 26., 27. i 28. października i ubiłem pierwszego dnia 29, następnego 30 a ostatniego 26 sztuk słonek. Drugiego dnia, oddaliwszy się znacznie od domu, wracałem zmrokiem przez zrąb szpilkowego lasu z wysokimi nasiennikami. Idąc dość żwawo, spostrzegłem, że ciągnie pojedyńczo jakieś ptactwo wierzchami nasienników. Zdawało mi się z początku, że to nietoperze, lecz przypatrzywszy się lepiej, przekonałem się, że to słonki, ale jakieś małe. Chwytam za strzelbę i strzelam — nabiwszy znowu idę i strzelam, i tak nim do końca zrębu doszedłem, strzeliłem sześć razy, ale żadnej nie spuściłem; widocznie śrut był za drobny na tę wysokość. Nazajutrz słonko już zachodziło, gdym powracał. Przewidując, że na ciąg natrafię, przygotowałem parę ładunków z grubszym śrutem. Chciałem koniecznie przypatrzeć się tym malcom, co mnie sześć naboi kosztowały.

I w istocie, na zrębie trafiłem znowu na ten sam ciąg. Tym razem pięć razy strzeliłem, i ledwo tylko jedną udało mi się spuścić. Była ona rzeczywiście mniejszą od wszystkich poprzód strzelanych. A zdawało mi się, że wszystkie te tam ciągnące były takie same. Ciągnęły one od wielkich lasów w okrajki, i być może, że odchodziły już w dalszy świat, był to bowiem koniec października. Takiej obfitości słonek już nigdzie nie zastałem. Licząc razem, zabiłem w trzech dniach 86 sztuk. Ogółem zaś tej jesieni zabiłem 218, a kolega mój myśliwy, kapitan Cseffalvay, z którym się ciągle znosiłem, zabił około Markowiec pod Stanisławowem 118. Oprócz Strupkowa, polowałem wtenczas i na krzakach Woronskich pod lasami Krzywotulskiemi, i ubijałem po kilkanaście słonek i kilka cietrzewi.

Tego roku odnosiłem się do pana Kunza, właściciela Strupkowa, z zapytaniem, w jakim stanie obecnie się Strupków znajduje, i czyliby było co tam strzelać? Niestety, odpisał mi, że na tyle zwierzyny, ile ja w jednym dniu wówczas upolowałem, potrzebaby może dzisiaj cały rok polować. Tam, gdzie były ongi liche krzaki, rodzi się dziś piękna pszenica. Gorzelnia do tej kultury grunta te doprowadziła.

W r. 1854., gospodarując w Krzywotułach, odwidziłem w końcu lipca kapitana Cseffalvay w Stanisławowie w celu zaproszenia go do siebie na błota, na których w tym roku niezwykła była ilość kszyków i dubeltów. Gdy to usłyszał, prosił, aby jakiś czas powstrzymać się ze strzelaniem w celu zamenażowania ptactwa dla arcyksięcia Ernesta, zapalonego myśliwego, który jako młodziutki jenerał stał pod tę porę z garnizonem w Stanisławowie. „Arcyksiążę chętnie by się tam także przejechał — kończył kapitan. — Za parę dni przywiozę ci go do Krzywotuł.“ Opowiadał przytem, że go wozi w różne miejsca, ale nie świetnie im się jakoś wiedzie; mało ptactwa znachodzą i w dodatku przy strzelaniu przepiórek jakąś babę postrzelili.

Wróciwszy do domu czekałem z dnia na dzień na tak wysokiego gościa; tymczasem dwa całe tygodnie minęło, a moich gości jak nie ma tak nie ma. Zniecierpliwiony, poszedłem sam na błota, i spostrzegłem, że te w ciągu dwóch posusznych tygodni znacznie powysychały, i że nie wiele ptactwa znajdzie się do strzelania. Napisałem o tem natychmiast do kapitana, radząc, żeby arcyksięcia nie przywoził. „Jeżeli błota powysychały, to zapolujemy na kuropatwy w Zakrzewcach — odpisał — powyszukuj tylko miejsca, gdzie są stadka pewne, a przyjedziemy z pewnością.“

Posłałem tedy zaraz mego służącego z wyżłem dla wyszukania stadek, a w parę godzin miałem relacyę, że znalazł dwa, z których po jednej, na okaz zastrzeliwszy, przyniósł. Były już tak duże jak stare. Doniosłem więc o tem memu koledze.

Na drugi dzień żołnierz z karabinem oddaje mi depeszę, donoszącą, że nazajutrz oczekiwać mam gości o 6 godz. rano koło karczmy przy gościńcu. Stawiłem się punktualnie, po wojskowemu, na naznaczonem miejscu, a o 6. godzinie nadjechali, arcyksiążę z adjutantem, strzelcem i kapitanem C. Pojechaliśmy gościńcem ku Ottynii, a zrównawszy się polami Zakrzewieckiemi, przesiedliśmy się na moją bryczkę i polnemi drożynami odbywaliśmy już dalszą exkursyę. Nareszcie rozpoczynamy polowanie. Mamy dwa wyżły — zakładamy, ja swego, kapitan swego — strzelamy. Zabijamy naprzód gołębia dzikiego, do którego gdy nadleciał, daliśmy generalną salwę ze wszystkich naszych rurek, lecz dopiero po ostatnim strzale arcyksięcia, ku wielkiemu ukontentowaniu jego, upadł. Następnie zabiliśmy starą kuropatwę, jednego starego zająca, jednego bociana (którego adjutant uśmiercił) i coś cztery pary przepiórek przez arcyksięcia przed moim młodym psem zastrzelonych. Za to też był głaskanym i więcej arcyksiążę z nim rozmawiał, niż ze mną.

Ja i kapitan, gwarząc ciągle po polsku, co nam na język wpadło, podtrzymywaliśmy humor, który nas opuszczał, bo upał był nieznośny, i ze trzy godziny nadaremnie za stadkami kuropatw buszowaliśmy.

Widząc arcyksięcia zmęczonego, zaproponowałem mu, ażeby siadł pod dębem i w cieniu odpoczął, a my z psami tymczasem dalej szukać będziemy. Przyjął moją propozycyę wdzięcznie i obydwa z adjutantem usiedli. Po niedługiem szukaniu staje mój pies. Pif! Zrywa się ze dwadzieścia kuropatw, i siadają może o 50 kroków w kartoflach. Uradowany wołam: hop! hop! biegną wszyscy do mnie i wchodzimy w te kartofle. Psy, powylalawszy języki, łażą wzdłuż i w poprzek, ale żaden nawet nie ściąga. Kuropatwy przepadły jak kamień w wodę. Dla wytłómaczenia się poprowadziłem panów do jęczmienia, z którego ich spędziłem, i mogli się dostatecznie przekonać, że były, bo dość wyraźny ślad po sobie zostawiły.

Robimy tedy dalej poszukiwania. Niebawem woła kapitan. Idziemy, a on pokazuje wązką niwę kukurudzy, na którą całe stadko się spuściło. Tu jednak powtórzyła się znów ta sama historya, i znowu nie mogliśmy ich odszukać. Nareszcie arcyksiążę oświadcza, że chce odjeżdżać. Proponuję, żeby jeszcze nie daleko do krzaków się pofatygował, ale

odmówił, i odjechał do Ottynii, zabrawszy zabitą zwierzynę a nawet bociana. Ottynia może z pół mili oddalona; mając zatem z godzinę czasu, zanim moja bryczka ztamtąd powróci, udałem się z Hektorem do tych krzaków, do których arcyksięcia zapraszałem, i ledwie tam wszedłem, już mój pies stał. Porwało się liczne stadko kuropatw, z którego po dwóch strzałach pięć padło, a nim bryczka wróciła, miałem już szesnaście sztuk. Doniosłem o tem kapitanowi zapraszając, żeby jeszcze raz arcyksięcia przywiózł. Dodałem że weźmiemy chłopca z konewką wody dla chłodzenia psów, gdyż upał tylko był przyczyną niepowodzenia. Odpisał, że przyjedzie w następną niedzielę, ale — sam. Przyjechał też istotnie, i we dwóch upolowaliśmy w tem samem miejscu jednego dnia 30 sztuk kuropatw.

Przez Krzywotuły dolne płynie rzeka Worona ku Tyśmienicy, i podczas częstych wylewów zabagnia wszelkie większe wklęsłości po drodze, a szczególniej stawisko sąsiedniej wsi Słobódki. Te wylewy powstają po deszczach w Karpatach lub okolicy lesistej, poczynającej się na podgórzu karpackiem za Strupkowem, i udzielają się Woronie potokami Strupkowskiemi. Po takim wylewie formują się błota nie łatwo wysychające, przez to ptactwo różnego gatunku, ściągnięte tam, daje sposobność wybornego polowania błotnego. Tutaj, polując z kapitanem C., ubiliśmy nieraz dużo ptactwa.

Po jakimś czasie, przeniosłszy się w Kołomyjskie, znalazłem tam nowy i obfitszy teren dla polowań błotnych, mianowicie na zbrodach, od Okna zacząwszy aż po Podwysokie, a dalej ku Horodence błota Jasionowskie. Tam używałem polowania błotnego co się zowie, a nieraz i z pościelą w tłumoku jeździłem, aby nad zbrodami na rozrzuconym półkopku nocować. Mieszkałem w Dzurkowie, gdzie także choć nie wielkie, ale często obfite w zwierzynę znajdowały się błota. Na tych razu jednego miałem tak pyszne polowanie, że pozwolę tu sobie takowe opisać.

W r. 1852. cesarz Franciszek Józef raczył pierwszy raz zwiedzić Galicyę. Kołomyja przygotowywała się do przyjęcia monarchy, stawiając tryumfalne bramy, a przytem przysposabiała prowianty dla kuchni cesarskiej. Była to późna jesień, lecz dzień ciepły i piękny. Około 9. rano, wyszedłszy z mojej kancelaryi w Dzurkowie do gospodarstwa, zdybałem na dziedzińcu jakiegoś człowieka ze strzelbą i borsuczą torbą, który mi list doręczył.

Czytam: „Przygotowujemy się do przyjęcia cesarza, a ja mam wyznaczoną ilość zwierzyny, z wymienieniem liczby każdego gatunku. Co do lasowej zwierzyny mam już wszystko, tylko do uzupełnienia brakuje mi błotnego ptactwa, więc jako do pierwszego naszego myśliwego tego zawodu udaję się z prośbą o łaskawe zaopatrzenie nas w jak najkrótszym czasie w ten gatunek zwierzyny. Posłaniec mój poczeka na nią. Zostaje itd. *Pauli*, nadleśniczy lasów kameralnych.“

Miałem bliskie błota, ciągnące się ku Gruszce, na których parę tygodni nie polowałem. Wiedziałem, że tam dosyć kszyków zastanę. Biorę zatem strzelbę i psa, strzelcowi kazałem dać do ręki koszyk do noszenia zwierzyny, i w pół godziny byliśmy już na błotach. Ledwieśmy tam wstąpili, już pies stał. Porywa się kszyk, ale tak ciężko jak dubelt, pada naturalnie. Biorę go do ręki, a on oblany tak, że rzadko mi się wydarzało kszyka tak tłustego widzieć. O kilkanaście kroków znowu pies staje, ja strzelam — i co 20 do 30 kroków powtarza się to samo.

Chodziliśmy tak przez 4 do 5 godzin i przynieśliśmy pełny koszyk, czyli 41 sztuk kszyków, a wszystkie były tak tłuste jak pierwszy. Szczególne to zdarzenie dowodziło, że kszyki miały tam bardzo dobre żerowisko, a że ich nikt nie płoszył, ściągnęły więc z różnych stron. Piękny zaś i prawie gorący dzień przyczynił się do tego, że dosiadywały i że ja, dawszy 41 strzałów, ani razu nie chybiłem. Łatwe to były strzały, lecz nieraz i do derkacza się spudłuje. Mój posłaniec nie mógł się temu nadziwić; był on strzelcem z gór na grubszą zwierzynę i znał się na strzelaniu. Odprawiłem go zaraz z błot prosto do Kołomyi ze zwierzyną.

Po odjeździe cesarza, będąc w Kołomyi, dowiedziałem się od Paulego, że cesarz nie jadł tych kszyków, odesłano je bowiem do Wiednia dla cesarzowej matki. Kucharze cesarza twierdzili, że tak pięknych kszyków nie widzieli jeszcze, a i ja czasem chyba tylko jednego takiego zastrzeliłem. *In gratiam* tak rzadkiego wypadku wypiliśmy z Paulim kilka butelek węgrzyna...

Z psiarni, pola i kniei.

Nowela

Adolfa Dygasińskiego.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Wobec tylu myśliwych, tak zawziętych, i mnogości psów, łatwo pojąć, że na terytoryach Sokołówki nie mogło być dużo zwierzyny.

Krzykalski i Przetkała włóczyli się nieustannie po polach, lesie i błotach; Bonek Skóra wychodził też z domu ze strzelbą. Czego nie dokonała ręka tych wypłoszów, kończyły to walne polowania, na które Nabłocki spraszał przerozmaitych leśniczych, gajowych i w ogóle każdego, kto mu się nadarzył. Sąsiedzi, obywatele ziemscy, nie łączyli się z tą hałastrą. Pan Kołowolski z Piszczan, najbliższy sąsiad Nabłockiego, jedyny człowiek w tych stronach, który prenumerował francuską gazetę, a był bardzo oględny w używaniu wyrazów nieprzyzwoitych, nazywał dziedzica Sokołówki „małoletnim“, a myśliwskie jego otoczenie „szarańczą“. Za to Wyskrobkiewicz, leśny oficyalista Kołowolskiego, nie szczędził różnych nieprzyzwoitych, a często i bardzo nieprzyzwoitych przydomków myśliwym ze Sokołówki. Nawiasem mówiąc, Krzykalskiego uwolniono od obowiązków ekonoma, ponieważ potajemnie sprzedał coś około pięciu korcy

pszenicy dworskiej, pieniędzy zaś wziętych nie przeciągnął przez rejestra na przychód. O Przetkale chodziły jeszcze gorsze wersye; dopuszczał się podobno nadużyć, będąc leśniczym w Łaganowicach; zabił chłopa, który mu się nie opłacił, a poszedł kraść drzewo do lasu. Bonek Skóra miał także, jak utrzymywano w okolicy, zaplamiony życiorys.

Tak stały rzeczy, kiedy się zbliżała chwila groźna, bo na kawałku ziemi, pozbawionym grubszej i drobniejszej zwierzyny, nie miała racyi bytu wielka ilość psów i ludzi, oddanych wyłącznie myśliwstwu. Nabłocki z goryczą nieraz powracał do domu, gdy w lesie swoim nie znalazł przez cały dzień ani jednego zajączka. Dzikie zwierzęta chyba obniosły między sobą Sokołówkę i omijały ją zdaleka.

— Fatalne lata na zwierzynę! — mówił Nabłocki. — Jak tu będzie wyżyć, jeżeli tak dłużej potrwa?...

— A bo niech pan sprzeda Sokołówkę — radził Przetkała. — Dziura taka, szlachta naokoło same skrobigarki... Polować nigdzie nie wolno...

Rzeczywiście, dwór Nabłockiego zaczęto uważać jako jaskinię złoczyńców i rozwijano ogromną baczność, ażeby nemrodzi ze Sokołówki nie przekraczali granic cudzych terytoryów. Na pogranicznych kopcach pól i lasów powbijano wysokie słupy, a na słupach poumieszczano tablice z napisem: „Zabrania się polować pod karą utraty psów i strzelby.“ Pierwszy Wyskrobkiewicz w Piszczanach zaprowadził taką modę i cała okolica odgrodziła się od Sokołówki murem przepisów, wyraźnie czarnych na białem.

A ze Sokołówki ciągle grzmiały strzały, bo Nabłocki strzelać lubił i w ostatnim razie wprawiał się do celu.

Krzykalski bo jeszcze w sierpniu wybijał kuropatwy, zaledwie że ptaki te farbówkami się stały.

Dyanka, dowodna wyżlica, dopomagała mu do tego bardzo skutecznie. Bywało nieraz, że Przetkała szedł za strzałami Krzykalskiego i zwroszone ptaki brał na wabika. Ten wabik, naśladujący wybornie głos starki, a w danym razie i młódki, był samodzielnym wynalazkiem Przetkały — wynalazkiem, którego tajemnicy myśliwy nigdy nie zdradził.

O, bo Bartłomiej Przetkała był to majster! W głowie swojej posiadał on cały magazyn tajemnic myśliwskich. Drwił z Krzykalskiego trutek na lisy, bo umiał lepsze przyrządzać i zakładać. Co więcej, drwił on z tablic powywieszanych na granicach wsi sąsiednich.

— Żaden ptak — powiedział jednego razu — ani zając, ani lis, pies, ani ja nie dbamy na takie głupie wymysły.

Podobno umiał w nocy sprowadzać zające z okolic do Sokołówki, a kiedy się zwierzęta poschodziły na pola, w krzaki różne i do lasu, on nazajutrz urządzał łowy. Miał jakąś osobliwą zaprawę, którą rozrzucał po drogach i to zającom okrutnie pachniało. Umiał też znienacka wpaść na cudze grunta, strzelić parę razy, zabrać co upolował i zmykać do domu. Wszystko mu się udawało, a Krzykalski zdawał się być za ciężki do wybiegów tego rodzaju, choć wmawiał sam w siebie i w drugich, że mu Przetkała nigdy nie dorówna.

Był jeszcze w Sokołówce drugi myśliwy, co najmniej równie zręczny jak Bartłomiej; jemu także zwierzyny nigdy nie brakowało, a zdawał się posiadać tysiące sposobów własnego wynalazku. Tym myśliwym był lis, nie żaden zwykły, ale stary, szczwany. Kiedyś tam Przetkała zabrał z nim znajomość przy następującej sposobności:

Nasz myśliwy nie gardził nawet polowaniem na wychodnego i raz po księżycu, zaraz z wieczora, usadowił się pod lasem.

Wnet pojawił się i oczekiwany zając. Przetkała nie lubił psuć nabojów, bo strzelał znakomicie, więc wypalił z jednej lufy; zając w pospiechu wyciął parę kozłów, zawrócił i dyma prosto do lasu, Bartłomiej za nim, gdyż wie, że go trafił; zając wpadł w krzak i poczyna skrzeczeć, jak dziecko nowonarodzone. Przetkała pędzi, a tu z krzaka wypada lis i zająca w zębach niesie. Myśliwy aż osłupiał, bo mu się nigdy nic podobnego nie przytrafiło; złożył się zaraz i z wielkim pospiechem w mroku palnął do lisa. Ale na ścieżce zostało tylko pół lisiego ogona, a sam lis uszedł z zającem.

— Dwa naboje dyabli wzięli i zato mam niecały lisi ogon!... — mruknął Przetkała.

Zaraz nazajutrz Bartłomiej wziął się do robienia trutek na lisy; otruł kilka lisów w ciągu trzech miesięcy, ale wszystkie miały ogony całe.

Żył więc w Sokołówce ów lis bez ogona, a od czasu do czasu stawał on wyraźnie w snach i marzeniach przed oczyma duszy myśliwego. Nie darmo Przetkała zwykł był ze sobą zabierać jamniki do lasu, bo zawsze sobie myślał, że tego lisa bez ogona raz nareszcie odkryje, znajdzie jego jamę i pokona go. Czas szybko biegł i w pamięci Bartłomieja stopniowo zacierało się widmo lisa bez ogona. Przypominał go sobie wtedy tylko, kiedy ludzie opowiadali, że we dworze lub na wsi przepadła gdzieś kura, gęś, indyk, lub kaczka. Milczał, myśląc wtedy o lisie. Ale do nikogo słowa nie pisnął, bo przecież nie wypadało, żeby się Krzykalski dowiedział o myśliwskiej przygodzie, w której lisi ogon kosztował aż dwa naboje. Była to śmieszność, a powaga Przetkały nie pozwalała na okrycie się śmiesznością.

Jednego roku pańskiego, jakoś pod koniec września, dni były piękne, złotawe; światło słoneczne w atmosferze sprawiało wrażenie barwy pszenicznych, jęczmiennych i owsianych ściernisk. Tu i owdzie widziałeś chłopa z pługiem, zaprzągniętym w jednego lub dwa konie. Uwijały się dzieci, poodziewane w szare płachty, między stadami gęsi, krowami, trzodą chlewną. Na najwyższym wzgórzu, jak obserwator, stał owczarz ze Sokołówki; zawiesił on but na ramieniu, włożył w kieszenie obie ręce, a po bokach jego przysiadły na ogonach dwa psy ze spiczastemi uszyma. Poniżej nieco używały pastwiska owce, które się cisnęły prawie jedna na drugą, wyszukując pożywienia. Oprócz owczarza, mało kto widział, co się działo do około na jakiej ćwierćmilowej przestrzeni. Najwyżej stojący, spokojny, a dużo mający wolnego czasu, owczarz spostrzegł fakt taki:

Oto z lasu wyszedł sobie po południu lis i oglądał się na wszystkie strony. Taka pogoda była na świecie, takie milutkie ciepło, że lis podskoczył w górę z rozkoszy. Coś mu zapachniało, bo wyciągnął głowę i przez chwilę wietrzył.

— Czy to pies, czy lis? — myśli owczarz — niby lis, ale tak wygląda, jakby ogon pod siebie schował.

I tak bił się z myślami ten człowiek.

Lis przysiadł jak pies na tyle ciała, wietrzy a patrzy, co się gdzie dzieje; owczarz mu się teraz przypatrzył, chociaż lis barwą swoją był podobny do barwy ścierni i zdaleka należało się dobrze wpatrywać, aby go wyraźnie rozróżnić i widzieć, że to lis siedzi.

Spostrzegacz opuścił swoje obserwatoryum, przeszedł około stada owiec, kroczył między gęsiami i bydłem, przybył do gromadki pasterzy, którzy się bawili w dołki, i nie podnosząc głosu, tak mówił:

— Wawrzuś, słuchajno, tyś chybki w nogach, skocz po za górkę chyłkiem do dwora i powiedz tam dziedzicowi, czy panu Krzykalskiemu, że na pszenicznem rżysku lis sie-

dzi... uważasz, powiedz, niech mu zajadą z psami od lasu, to go jak nic chwycą.

Zwija się niebawem Wawrzuś, tylko czupryna jego na głowie się miga. Tylko czarne stopy czasem się od ścierni odbijają. Bieży a bieży, wybiegł na górkę, zniknął w dolince, znowu go widać na innej górce i nareszcie wpadł do wsi... Pewnie jest już we dworze.

Lis patrzy, widzi zdaleka owczarza z psami; ale gdzie oni to tam, a tu las zaraz pod bokiem. Lis widział, jak Wawrzuś chyłkiem po pod górką pędził; ale chłopak się przecież oddalał, wyraźnie szedł ku wsi, więc się nie było czego obawiać. Wawrzuś już jest daleko na zielonej łące, nie można nawet rozpoznać — pies li to, bocian, czy dziecko.

Może o trzysta kroków, może nieco dalej od lisa chodziło stadko gęsi; ptaki były podskubane, poopuszczały skrzydła. Lisowi serce zabiło, bo przecież gęś należy do najłatwiejszych w świecie zdobyczy, a przytem do smacznych potraw; więc może ze wzruszenia zwierz leśny przycupnął w bruździe i niechcący począł się zwolna prawie na brzuchu posuwać. Przeląkł się, bo mu skowronek z wielkim impetem wyrwał się z przed samego nosa. Idzie dalej i już dokładnie słyszy, że niektóre gęsi gęgają, a jedna, jakaś chora, siedzi na zagonie i od czasu do czasu ciężko pokwenkuje: „ęch! ęch!“... Coś ją widać boli; może sobie skrzydło lub nogę zwichnęła, może na nią nastąpiło jakie nieostrożne bydlę. Im bliżej tej chorej gęsi, tem się lis bardziej zapala; oddalił się już dobry szmat drogi od lasu; ale nie bez tego, żeby też czasem i za siebie nie spojrzał.

Jest już blisko gęsi, mógłby poskoczyć, chwycić i unieść. Zerknie ku lasowi od niechcenia, a tu z boków, wyjeżdża dwóch ludzi na koniach, każdy z nich trzyma dwa psy na smyczy, środkiem zaś wali trzeci jeździec, a obok niego pies jak źrebię. Lisa zupełnie odcięto od lasu, zatamowano mu odwrót w tamtą stronę. Ale on się przecież w tych stronach urodził, na wylot zna każdy krzaczek, parowek, górkę i dolinkę.

Pomknął lis rączo, myśliwi widzą przed sobą zwierzę bez ogona, lecz tylko jeden z nich wie, co to znaczy.

— Hać go! hać go! — słychać na wszystkie strony.

Zaszumiało ściernisko pod nogami chartów, rozległ się tentent cwałujących koni. Z jednej strony Przetkała wypuścił Orlika i Lotkę, z prawej Krzykalski — parę czarnych czartów, a Nabłocki środkiem wysforował ognistego Chyca. Jeźdzcy przygarbieni na koniach lecą na złamanie karku.

Lis wpadł pomiędzy stado gęsi, wywołał popłoch nadzwyczajny wśród ptaków; zestrachało się i bydło, narobiło wielkiego zamięszania; wszystko gdzieś naprzód goni bez pamięci. Charty zgłupiały, bo im lis zniknął z przed oczu. Orlik w rozpędzie piersiami uderzył o wieprzaka, który się przewrócił jak długi; na parę czarnych znowu napadła z rogami jakaś zuchwała jałówka i goni je przed sobą po polu.

— Hać go! — wrzaśnie Przetkała i sadzi na gniadym koniu, bo właśnie dojrzał lisa, który tymczasem ubiegł już przeszło dwieście kroków, pędząc pod słońce, co myśliwym przeszkadzało dostrzedz jego kierunek. Znowu pod kopytami koni zadudniła ziemia. Chyc się jak strzała wyciągnął, zrobił się cienkim paskiem na żółtem ściernisku; nikt nie rozróżni, czy pies ten ma nogi, ogon i głowę; nie, to cień obłoku gwałtownym wichrem po ziemi gnany.

Źle będzie z lisem w tem odkrytem polu! Oto mu owczarz właśnie od góry zabiega drogę ze swojemi szpicami. Lis wszystko to widzi, a pogoń straszną na tyłach przeczuwa... Zrobił zwrot nagły w bok, przeleciał tuż przed koniem Nabłockiego i potężnym susem wpadł pomiędzy stado owiec, spłoszonych w najwyższym stopniu. Słychać bek straszny jagniąt i matek; owce, zbite w jedną masę, uciekają jak szalone, daremnie psy owczarskie zawrócić je usiłują. Charty znowu zgłupiały, nie wiedzą, co robić; zrazu gnały za owcami, lecz je wreszcie myśliwi zdołali odwołać.

— I gdzież jest lis? — każdy zdaje się pytać spojrzeniem i każdy rozpatruje pola w różnych kierunkach.

A lisa uniosły owce aż pod jałowcowe krzaki. Teraz jest on zupełnie bezpieczny, bo pomiędzy krzaczkami wznosi się graniczny kopiec Piszczan, a na kopcu tablica z napisem: „Nie wolno polować itd.“ Nabłocki powstrzymał konia, Krzykalski także; tylko Przetkała bokiem pogonił, a za nim poszły charty. Bartłomiej nie znalazł już lisa, ale jego przejście granicy spostrzeżono w Piszczanach. Wypadła gromada parobków na koniach i chcą Przetkałę otoczyć. Daleko się zapuścił, więc teraz łydkami konia ściska i rwie z odwrotem, a za nim sadzą charty, wywiesiwszy języki.

Dopadł już swojej granicy i ztąd odważnie ciska obelgi prześladowcom...

V.

W parę dni potem wziął Przetkała na sforkę Czucha i Dyndę, opatrzył strzelbę, dosypał w róg prochu, włożył do torby flaszkę wódki, kawałek chleba, słoniny i z całym spokojem umysłu podążył ku lasowi.

— Choćby mi przyszło cały rok, dzień w dzień siedzieć w boru, to będę siedział, ale jamę jego odnajdę!

Dynda, słysząc, że Bartłomiej coś mówi, podniosła głowę i spojrzała mu w oczy; oba psy z zadartymi ogonami, chybotając się na krzywych nóżkach, podążały obok swojego rozkazodawcy, w którego krokach i postawie przebijało mocne postanowienie dojścia do celu.

Las w Sokołówce miał pełno wertepów, dziur, parowów, które Przetkała znał na wylot; ale dzisiaj przeszedł jeszcze tamtędy, badając uważnie położenie. Znajdował stare lisie jamy, jamy zajęcy, których mieszkańcy dawno już zginęli z jego ręki. Tu i owdzie zapuszczał pod ziemię jamniki i nasłuchiwał, przyłożywszy ucho do ziemi.

— Nic nie pomoże, on musi mieć jamę w piszczańskim lesie — rzekł do siebie Bartłomiej; potem wydobył flaszkę, zatkaną papierowym korkiem i łyknął tyle, ile się w usta zmieściło; splunął, przegryzł, znowu popił. Nabrał teraz otuchy i szedł w kierunku lasu piszczańskiego. Przybył na granicę, gdzie stał słup z napisem: „Zabrania się polować itd.,“ a jamniki jego zaczęły w tem właśnie miejcu wietrzyć po ziemi i kręcić się niespokojnie; widocznie poczuły jakąś zwierzynę, więc się w las rwały. Bartłomiej przywiązał psy do drzewa, a słup oburącz wziął w swoje objęcia, począł nim wstrząsać zrazu słabo, następnie coraz skuteczniej. Słup się chwiał, wreszcie padł na ziemię, a Przetkała przystąpił nogami tablicę z napisem i dopóty bił w nią obcasami butów, aż deska popękała.

Teraz zabrał jamniki i wszedł do cudzego lasu; na kuraż jeszcze łyknął, przegryzł, rzucił psom parę okruchów i rzekł:

— Mosterdzieju, bałbym się takiego kpa, jak Wyskrobkiewicz!

Psy okazywały nadzwyczajną otuchę; w Piszczańskim lesie było im jakoś raźniej, niż w lesie należącym do Sokołówki.

Przetkała znalazł się w pięknym cyplu lasu, gdzie można było zrobić dobry zakład z jamnikami. Nie mógł się

oprzeć chętce i psy założył. Puszczając ze sfory Dyndę, pogłaskał ją po głowie, a Czucha parę razy uderzył z pieszczoty po żebrach.

— W las pieski, w las! hejże szukać! — powiedział i zaraz strzelbę opatrzył. Cmoknął jeszcze wargami, aby dodać chęci już plądrującym po krzakach psom, i tak rozpoczął polowanie. Nie upłynęło i pięć minut czasu, a już się dał słyszeć głosik Dyndy, cienki jak dźwięki piszczałki i gruby, jakby z trąby pochodzący, głos Czucha.

Przetkała zasadził się za grubą sosną, a na zwiady wysłał oba oczy i uszy. Naraz pomiędzy krzakami ujrzał kicającego zająca, który się zdawał przysłuchiwać muzyce i z jej odległości oceniać stopień własnego niebezpieczenstwa. Myśliwy krótko mierzył; strzał huknął i szarak się na miejscu rozciągnął. Teraz Bartłomiej zwoływał psy: „Nanana tuuu!... na tu!“

Podniósł zająca, zważył w ręce, obtrącił mu tylko skoki, wydobył z niego patrochy, a kiedy Czuch i Dynda przybyły, dał im zaraz odprawę. Sam też napił się wódki po raz trzeci, zagryzł plasterkiem słoniny i poszedł dalej. Idąc atoli, miał się więcej ku granicy Sokołówki, być może, iż miał niejaką obawę zajścia z Wyskrobkiewiczem.

Jeszcze raz założył psy i wnet pogoniły; znowu zabił zająca, przytroczył zdobycz do torby i począł się wynosić z lasu. Mrok począł padać na ziemię... Myśliwy wziąwszy na sforę Czucha i Dyndę, samym brzegiem piszczańskiego lasu zmierzał ku Sokołówce, a w tej samotnej podróży ciągle mu się wił po głowie lis bez ogona. Ciągle stawało natrętne pytanie, gdzie tego lisa szukać należy?

Kiedy tak myślał, spojrzy przed siebie, a tu z lasu wychodzi człowiek i także brzegiem idzie naprzeciwko niemu. Przyjrzał się Bartłomiej dobrze: masz tobie, rychtyk Wyskrobkiewicz. Nie można było miny tracić, więc Przetkała wali prosto na przeciwnika. Psy warczały na nieznajomego, więc je zgromił. Pierwszy Wyskrobkiewicz stanął na środku ścieżki i mówi:

— To tak?... czy to się w cudzym lesie poluje?

Chwycił ręką za jednego zająca i oderwał go od troków... Ale Przetkała zaraz się spostrzegł, łap zająca, szarpnął i wyrwał go z rąk przeciwnika. Wyskrobkiewicz idzie prosto i znowu zająca chce odebrać, a Bartłomiej się cofa, mówiąc:

— Poszedł precz, cymbale!... zginę, a swego nie dam tykać...

— Swego nie swego — mówi leśniczy z Piszczan. — Co kradzione, to nie twoje!... Oddać zająca, a nie, to w łeb strzelę!

— Bierz cię czarci, chcesz, to strzelaj, gałganie! Jeszcze czego, żebym się bał takich psubratów! — powiada Przetkała, a jednak cofa się tyłem.

Naciera Wyskrobkiewicz, a Przetkała trzyma w jednej ręce zająca za tylne nogi, w drugiej smycz od sfory jamników i powiada ze złością:

— Ej, nie zbliżać się do mnie, bo nie ma żartów, jak zbawienia duszy pragnę... moc mam w sobie okrutną i mogę w łeb trzasnąć, że aż rozum na wierzch wyjdzie...

Wyskrobkiewicz nic nie pyta, idzie ciągle, a strzelbę pod pachą ma z odwiedzionymi kurkami. Dopiero Przetkała jak nie skoczy, jak nie trzaśnie zającem w głowę leśniczego... Musiał go łbem zajęczym trafić w samo skronie, bo chłop się jeno zatoczył i jak długi plackiem rznął na ziemię.

— Nie mówiłem ci — mruknął Przetkała — chciałeś koniecznie, to masz, mosterdzieju! ja się twojej strzelby nie boję.

I z temi słowy Bartłomiej puścił się prosto przez pola do Sokołówki, a tamten omdlał i został, leżąc odurzony pod lasem.

Uszedł już Przetkała dobre dwieście kroków, kiedy dopiero Wyskrobkiewicz oprzytomniał, porwał się na równe nogi i dawaj gonić nieprzyjaciela.

Zadyszał się dobrze, nim go dojrzał po zmroku; w strasznej złości wymierzył strzelbę i z obu luf huknął za Przetkałą, celując prosto w nogi. Naboje były dobre z zajęczego śrótu, więc należycie furknęło Bartłomiejowi koło uszu; ale Dynda naraz zaczęła straszliwie skomlić: aj, jaj, aj, jaj!... Dostała śrócinę w tylną nogę, w samo kolano.

— Czekajże ty łajdaku jeden! — powiada Przetkała — pokażę ja tobie, kiedy ci mało, żeś już po łbie dostał!...

Zaraz się odwrócił i w tę stronę, skąd jeszcze dymek widać było po strzałach, wypalił z jednej lufy, bo jedną tylko miał nabitą.

— Aaaa!... Gwałtu!... Aaaa! Ratuj kto w Boga wierzy! — darł się Wyskrobkiewicz, bo mu Przetkała wystrzelił jedno oko.

— Dobrze ci tak, mosterdzieju! — mówił do siebie Bartłomiej — nie będziesz drugi raz cudzego psa krzywdził ani turbował po drodze spokojnego człowieka.

(Dokończenie nastąpi.)

SZTUKI NIEDŹWIEDZIE.

Opisał

ALEKSANDER UBYSZ.

Sztuki niedźwiedzie! — powie czytelnik — wielka nowina! Któż nie widział uczniów akademii smorgońskiej?

Ależ nie o adeptów Terpsyhory mi idzie, tylko o owych leśnych prostaków, jak oni, wpadłszy w tarapaty, radzą sobie, używając samorodnych sztuk i fortelów.

Szanowni czytelnicy „Łowca“, a nawet jego Redakcya z niewiarą przyjęli doniesienie w Nr. 5. „Łowca“: jak przez wilki ogabnięty mysio salwował osobę swoją na stosie drew opałowych, polan miasto broni w tej defenzywnej obronie używając.

Zanim poniżej opiszę jak najprawdziwsze a stokroć dziwniejsze od podanego w „Łowcu“ zdarzenie, podam niektóre rysy z charakteru niedźwiedzia, a mianowicie, jak on w czasie łowów, wobec psów i ludzi zwykł się zachowywać. Na

świadków upraszam owych panów myśliwych, którzy, polując na tę grubą zwierzynę, różne sztuki niedźwiedzie widzieć musieli.

Niedźwiedziowi matka przyroda odmówiła bystrego wzroku: jest on albowiem „*curtumvisus*“ — za to obdarzyła go wybornym słuchem, węchem, i — inteligencyą, wyższą od wilczej, lisiej, a nawet psiej.

Ten prostak, gbur, niezgraba, jedynie siłą fizyczną na pozór się rządzący, to frant nad franty, przewyższający nawet sławnego mykitę *alias* lisa.

Oto maliny, poziomki i inne jagody leśne bujnie zrodziły. Co żyje we wsi, stare, młode, nawet dzieci małe, rusza w las na jagodobranie. Lecz — ktoś ich tam już uprzedził. Tym ktosiem jest niedźwiedź, wielki lubownik słodkich jagód, osobliwie malin. Jak to on zgrabnie wierzchołki tego krzewu, przedniemi łapami w pęk je zebrawszy, *en masse* wespół z liśćmi w paszczę sobie pakuje. Wyssawszy, a jak lud mówi, „wycyckawszy“ takowe, wypluwa zużytki.

O skrytym w gąszczu niedźwiedziu ludzie nie wiedząc, bez obawy zbierają jagody. Niedźwiedzia zaś mało obchodzą gwary, śmiechy lub śpiewy ludzkie. Więc bez zamącenia spokoju trwa ta sielska idylla. Naraz — wpada do łba niedźwiedziowi koncept: wynurzyć się z ukrycia, zamruczeć groźno, spłoszyć tem gromadkę ludzką, która w przestrachu ucieka, zostawiając „króbki“ lub tympodobne naczynia pełne uzbieranych przez się jagód. Tego tylko pragnął mądry mysio — z rozkoszą jagody z naczyń wytrząsa i pożera.

Nie jestże to dowodem wysokiego sprytu niedźwiedzia? Kto temu nie wierzy, niech górskiego ludu zapyta.

Prócz zrabowania jagód, potłuczenia niezgrabną łapą dzbanków i garnków glinianych, niedźwiedź dla zbierających jagody niebezpiecznym się nie okazał. Lud, a nawet dzieci małe, niewiele się niedźwiedzia boją, wiedzą bowiem z doświadczenia, że skoro im powypróżniał kobiałki, rusza dalej w las, i już więcej „kosmacz“ nie przyjdzie; wracają zatem zkąd ich wypłoszył, i dalej zbierają jagody. Wiedzą równie, że niedźwiedź tylko mocno podrażniony „burmosi się“ (gniewa) i srogim się staje. Nie zaczepiony, częstokroć pierwszy człowiekowi z drogi ustępuje.

Trzeba widzieć, jak niedźwiedź, także wielki lubownik miodu, szuka za „barciami“ tj. drzewami, w których dziuplach dzikie, leśne pszczoły roje sobie założyły. Nie „kuka“ (patrzy) po szczytach drzew, bo wie, że ślepiec z natury, nicby nie dojrzał. Więc staje pod drzewem, wali łapą w pień, i przyłożywszy ucho słucha, żali nie huczą podrażnione uderzeniem o drzewo pszczoły. Gdy są, lezie na drzewo, wyciąga plastry miodu i zjada.

Każden gatunek niedźwiedzi dość umiejętnie łazi po drzewach. Celuje w tym kunszcie mniejszy gatunek, zwany „Bartnikiem“ lub „Moszkiem“. Ten gatunek, znajdujący się obecnie tylko na Litwie i Polesiu, dawniej, z wyjątkiem borów górskich, w całej Polsce i Rusi był pospolity, lecz wyłącznie tylko w lasach nisko położonych.

I górski, dużych rozmiarów niedźwiedź, skoro tylko „barci“ się dosłucha lub dowęszy, rusza na drzewo, nie z taką jednakowoż jak „Bartnik“ właściwy precyzyą. W lasach górskich „barć“ jest rzadkością, lecz gęsto za to dziupel drzewnych z gniazdami kun lub nawet ptaków. Skoro niedźwiedź zwęszy takowe, rusza na drzewo i pożera młode. Niezgrabny w skokach, częstokroć głodować musi, zanim mu co z trzody domowej lub zwierzyny porwać się uda, więc z konieczności przedsiębierze takie mozolne wyprawy, przy których zresztą duże, mocne i ostre pazury przednich łap i tylnych „stop“ wielce mu są pomocne.

Niedźwiedź, jak już nadmieniłem, słuch i węch posiada doskonały. Te zmysły wziąwszy, jak to mówią, „w kupę“, omija zastawione nań zasadzki, w postaci człowieka przyczajonego, lub nawet samołówki „stempicy“, którą chłopi górscy na ścieżkach, którędy zwykł chodzić, zastawiają. Człowieka zwęszy lub podsłucha — najmniejszy albowiem uczyniony przezeń szmer budzi go do ostrożności.

Znienacka napadnięty przez człowieka, w dodatku zraniony, wpada w wściekłość. Wspiąwszy się do góry, czyli stanąwszy na tylnych „stopach“, gotów do defenzywy, często i ofenzywnie występuje. Rycząc przeraźliwie, wymachując przedniemi łapami, które opazurzone posiadają dar chwytania jak palce ludzkie, rusza na człowieka, zazwyczaj w głowę jego godząc, czego następstwem zdarcie skóry z czaszki i twarzy. W razie podrażnienia, gdy nie był raniony, obala swego przeciwnika i wali przednią łapą, gruchocąc mu kości. Lud i wielu naturalistów twierdzą, że aby ujść gniewu niedźwiedzia, dość położyć się na ziemi i zaprzeć oddech. Niedźwiedź natenczas, obwąszywszy i osłuchawszy mniemanego trupa, odchodzić ma, nic złego leżącemu nie uczyniwszy.

Nie widziałem podobnej chwili, przeto stanowczo o tem sądzić nie będę. Jednakowoż znając naturę niedźwiedzia, wiem, że niepodrażniony nigdy człowieka nie napada. Drażliwym będąc z natury, przy lada jakiej czynnej obeldze wpada w gniew szalony i mści się; wszystkie fortele, używane ku ujściu jego gniewu, nic nie pomagają. Bije łapą aż do skutku, tj. aż do śmierci. Udanie śmierci zaraz po jednokrotnem uderzeniu jego łapy — być może — zwraca zemstę niedźwiedzia, tak, że poniecha swą ofiarę; lecz to chociażby jedyne uderzenie wystarczy na przyprawienie człowieka co najmniej o srogie kalectwo.

Ułowić niedźwiedzia w samołówkę, nie należy do przypadków zbyt częstych. Ostrożny z natury, zwolna, ze zwieszoną w dół głową kroczy ścieżynką, którą często chodząc zna dokładnie. Na takich ścieżynkach czyli „szlakach“ zwykli myśliwi lub chłopi zastawiać „stempice“, lecz i tę, jakkolwiek ją dobrze ukryto czyli „zamaskowano“ mchem, liściem, ziemią, umie bystrowęchy mysio wyminąć. W razie przeciwnym jeden krok nieostrożny, a „dźwirki“ z mocnego bukowego drzewa, naciśnięte „sprężynami“, t. j. dwoma silnemi drążkami z grubego laskowego drzewa — chwytają „stopę“ lub łapę w swe objęcia, i nie wypuszczą z swych silnych i bolesnych uścisków, chociaż nawet siłacz leśny wyrwie całą stempicę. Myśliwi, znalazłszy wyrwaną samołówkę, wiedzą co to ma oznaczać, spieszą za tropem i ubijają niedźwiedzia, który chociażby niewiem jak długo i zawzięcie tłukł samołówkę, już się jej nie pozbędzie. Dokładniej opisać ten pamiętny a tak straszny przyrząd jest niemożliwe. Jeden okaz ofiarowałem do muzeum im. hr. Dzieduszyckich we Lwowie. Stempica dostąpiła zaszczytu, że ją na wystawie krakowskiej w r. 1887. wśród mnóstwa przepięknych przedmiotów łowieckich jako mało znany przedmiot umieszczono.

Wszystkie przez lud praktykowane sposoby ujęcia sztuką niedźwiedzia, nader rzadko się udają; mądrość ludzka rozbija się o wysoko rozwinięte zmysły niedźwiedzia.

Zabawną anegdotę, pozwoli czytelnik, przytoczę o podobnie nastawionych aż trzech stempicach na niedźwiedzia.

Słynny w swoim czasie myśliwy w ziemi Sanockiej, ś. p. Leopold Leszczyński, pragnąc żywcem dostać niedźwiedzia, ponastawiał samołówki na najpewniejszym szlaku niedźwiedzim, bo wiodącym do skał, w którym mieściły się jaskinie co lata przez niedźwiedzie zamieszkałe. Jedyna ścieżynka wijąc się wiodła po nad potokiem. Nią musiał mysio tam iść lub powracać. W jednej z jaskiń był niedźwiedź, bo go tam widziano. Zastawiono więc aż trzy stempice w pewnem od siebie oddaleniu i czekano, rychło mysio się ułowi. Po trzech dniach poszedł gajowy zobaczyć, czy kosmacz się nie ułowił. Ułowiła się sarna, którą, jak pozostała w zakłapniętych „dźwirkach" przednia „cewka" z łopatką świadczyła, coś — zjadło. Po kilku dniach ten sam los spotkał i drugą sarnę, z której niemniej tylko resztki pozostały.

Po pewnym znowu czasie, otrzymawszy podobne raporta, spieszy sam ś. p. Leszczyński ku owej ścieżce. I cóż zastaje? Oto na gładko wyciosanem polanie bukowem napis węglem:

Dobry to plan choć zdradziecki,
Lecz nie głupi i niedźwiedzki.

W głowę zachodził Leszczyński, kto mu wyrządził takiego figla. Przeszukano wszystkie miejsca i większe jaskinie, lecz nie zastano tam niedźwiedzia. Pozostałości t. j. nieco sierci sarniej, dwie głowy, wymownie świadczyły, że niedźwiedź, zastawszy gotową dla siebie wieczerzę w sarnach, nie potrzebując za takową szukać po lesie, jak najroskoszniej zamieszkał jaskinię. Niemniej ostrzegły go może ułowione sarny, że w pewnych punktach zastawione są samołówki, toż je, porzucając jaskinię, wyminął przeskokiem, bo mysio w razie potrzeby i to potrafi. W rok dopiero przyznał się do stylizacyi owego poetycznego listu słynny myśliwy i dowcipniś, śp. Feliks Łążyński. Dodał przytem, że polując w pobliżu tych skał, niespodziewanie zeszedł niedźwiedzia, jak dobierał się do ułowionego w stempicę wilka. Basior, pochwycony za tylną nogę, co sił bronił się przed atakującym na niego łapami niedźwiedziem. Strzałem niestety nie zabójczym przerwał Łążyński ten nierówny pojedynek. Niedźwiedź uszedł lekko ranny, a wilka zabrał, kazawszy go dobić pałkami.

Najpewniejszem polowaniem na niedźwiedzia jest ubicie go w „gawrze", gdy spi snem zimowym, co czynią zazwyczaj chłopi górscy, których niemal jest rzemiosłem wyszukiwanie gawr niedźwiedzich i ubijanie spiących. Drugim sposobem są łowy ze strzelbą z kilku „drążkami" kundysów.

Myśliwi, zająwszy miot, w którym znajduje się niedźwiedź, puszczają naprzód „tropowca". Kundysy aż do chwili „zgłoszenia" tropowca trzymane bywają na łańcuchach. W danej chwili puszcza się je. Wtedy to warto posłuchać, a jeszcze ciekawsza zobaczyć, co za sztuki mysio wyprawia. Raz, niby zając pomyka (jak lud mówi) „typola"; gdy mu psy poczną się dobierać „do szarawarów", przysiada — i w prawo i w lewo rozdaje między natarczywsze psiska poczęstunki. Gdzie ugodził, „to nie mucha ukąsiła". Psisko stuliwszy ogona uchodzi skowycząc. Jednak rozjadła psów złaja, gdy niedźwiedź naprzód się poruszy, wnet ponawia atak za uda, boki itd.; natenczas mysio chwyciwszy, co mu się nawinie, kamień, kawał drzewa, rzuca między psy. Gdy mu się uda mimochodem z korzeniem wyrwać kilkoletniego buczka lub świerka, ująwszy go w łapy, grackie wywija nim młyńce. Opędziwszy się na chwilę psiej złai, rusza szparko naprzód, w razie dalszego ataku ponownie używając tego skutecznego środka. Dodam, że palce łap przednich niedźwiedzia, niby ludzkie palce, posiadają po trzy zgięcia czyli „sustawy", toż niedźwiedziowi z wielką łatwością przychodzi ujętym przedmiotem cisnąć daleko lub wymachiwać i godzić nader boleśnie.

Ostatni też przytoczony sposób bronienia się niedźwiedzia widziałem naocznie i wiernie tu w krótkości skreśliłem.

Dłuższy czas bawiąc w górach Sanockich, w czasie jednej z moich wycieczek w Beskid, widząc tę drastyczną scenę, pod wpływem wrażeń począłem ją opowiadać powołanym i niepowołanym, t. j. kobiecie, ciotce mojej a żonie słynnego myśliwego i facecyonisty, Feliksa Łążyńskiego.

— Nic to jeszcze — odpowie ciotka — niech ci Jędrek opowie co widział, dopiero się zadziwisz.

Dawaj co tchu Jędrka. — Był to człowiek nie stary jeszcze, tylko schorowany przez połamanie obu nóg przy spadnięcie ze „ściany", t. j. prostopadłego skalistego brzegu w rzekę San.

— „Było to tak proszę pana — począł Jędrek. — Przed Świętami Wielkanocnemi wyprawiła mnie pani nasza do Wydrnego, żeby tam spytlować pszenicę, żyto i „hołomsz", „orkisz" (na krupy). Z mojej strony dodaję, że krupy orkiszowe specyał górali, to już chyba na ich żołądki stworzony. Krupy „hołomszowe", skoro ich, i to przy dobrym ogniu, nie warzysz 8 do 9 godzin, twarde jak śrót — a w ogóle nie nader smaczne. — „Ano — ciągnął Jędrek — dano mi na wóz dwa korce pszenicy jarej (ozima w górach się wcale nie udaje), dwa korce żyta i korzec hołomszy. Wóz był, ot górski, „bosy", a konie — kasztan narowisty, że niech mu choroba, a gniada szkapa mdła. Z początku rwie a ciągnie że aż jej oczy wyłażą, a potem choć ją ubij nie pójdzie, tak osłabnie. Zajechałem do sławnego Wydreńskiego młyna — co to pan wie nigdzie nie ma lepszego. Trzeciego dnia dopiero powracam z mąką. Wielkanoc wypadła w kwietniu, miejscami było błoto, toż powoli jadąc, dobrym zmrokiem znalazłem się na drodze od granicy Tworyńskiej. Koniska szły powoli, kasztan się nie narowił, bo z powrotem do domu, toż usiadłszy na wozie, po kilku niedospanych nocach, zasnąłem. Naraz coś wozem tak szarpnęło, żem trocha nie spadł. Szkapy drą naprzód. Nic nie wiedząc, trzymam co sił — gdzie tam, droga wypadła po równem, toż pomykają szparko.

„Naraz coś zamruczało po za mną. Joj! a to co czarnego na wozie siedzi? Pewnie „chowaniec" (czart w usługach ludzkich). Nasłał mi go mielnik Chrewski, żem do jego młyna nie zajechał. Żegnam się — a tu konie drą co sił. Ba! — ale znowu coś; a było tego kilkoro, bieży za wozem, sapie, a świeci oczami. Chryste, to wilki — a siedzące na wozie, to kosmacz. Co porwie za worek lub woreczek z mąką lub otrębami, to buch pomiędzy wilki. Już był wszystką prawie mąkę powyrzucał, zostały tylko krupy. A nuż, myślę sobie, psiawiara w braku worków, zechce mnie rzucić miedzy wilki. Dobywszy z za pasa „topir", myślę sobie, nie dam się. Dolecieliśmy tak pod pierwszą tworyńską górę. Stroma ona, toż konie pomimo strachu zwolniły kroku, tak się pomęczyły. Niewiele się namyślając, czach! czach! topo-

rem po postronkach, po dyszlu skoczyłem na grzbiet kasztana, i dalej w nogi.

„Co dalej się stało, nie wiem, bom naraz obudził się w Tworyńskim dworze w piekarni. Sam pan Alojzy Strzelecki, gdym mu, co zaszło, opowiedział, wziąwszy ludzi, pojechał aż ku poniechanemu wozowi i szkapie. Szkapa zaplątawszy się w lejce i postronki i kroku naprzód postąpić nie mogąc, stała co dziwo — żywa. O niedźwiedziu i wilkach ani śladu, tylko na wozie leżało rozszarpane wilczysko. Snać wyskoczywszy na wóz chciał zażreć niedźwiedzia — lecz ten poczęstował go dobrze. Droga wstecz na przestrzeni blisko półmilowej zasypana była mąką.

„Że prawdę mówię niech mię...“

— Ależ wierzę! wierzę! — dodałem, zachwyconym będąc niezwykłem tem zdarzeniem.

Wierzyłem Jędrkowi. Upraszam niemniej czytelnika, by wierzył, że nic nie dodając, opisałem niniejsze zdarzenie.

KORESPONDENCYE.

Podkamień koło Rohatyna w maju.

Prysły lody — i pogoda
Znowu niby gada.
Rzekłbyś: jakaś wieszczka młoda
Wiosnę zapowiada.

Już na rzekach kra gdzieś leci,
Mknie skowronek głodny,
Promyk słońca czasem świeci —
Lecz jak w zimie — chłodny.

I tej wiośnie nic nie wierzę,
Sekret to nie nowy:
Marzec szaty wiosny bierze,
Jak na bal maskowy.

Płaszcz ma czasem ze stopniałej
Lodowej topieli,
Lecz zazwyczaj płaszcz ten biały
Wdziewa od niedzieli.

A na codzień się odziewa
Szarą burką potem —
W niej od śniegu się ogrzewa,
Choć zbryzgana błotem.

Niech wieszcz wdzięki wiosny śpiewa,
Niech ją sławi pieniem;
Ona dla mnie zawsze bywa
Istnem utrapieniem.

To niewiasta, z której oka
Nikt zbadać nie może,
Jaka w niej tkwi myśl głęboka,
W jakim jest humorze?

Nikt nie zbada — choć tak mile
Chęć jej badać wszędzie,
Jaką będzie znów za chwilę?
Jaką jutro będzie?

Promyk słońca w dzień ukaże,
I twój smutek skróci;
Lecz pod wieczór — na obszarze,
Lodem na cię rzuci.

Mnie uczyło doświadczenie,
A więc wyznam szczerze:
Że jak w niewiast zaręczenie,
Tak w wiosnę nie wierzę!

Takiemi to wyrazy odmalowałem, w chwili złego humoru, obraz wiosny, gdy w tym roku nieznośny marzec pogrążył wszystkich myśliwych w sen letargiczny, i kazał czekać na przybycie słonek, które się niestety w mojej okolicy wcale nie pojawiły. Pociechą, ożywiającą rosą z nieba, są wtedy dla nieszczęśliwego myśliwego niezawodnie artykuły „Łowca“, które myśl jego zwracają ku dawnym wspomnieniom, lub przyszłe wzbudzają nadzieje. Każdy też z pewnością oczekuje niecierpliwie na początku każdego miesiąca pojawienia się upragnionego pisma.

W kwietniowym numerze, wyczerpująco nakreślony artykuł o nowo przybyłym gościu z Azyi: „pustynniku“ *(Syrhaptes Pallasii)* nadzwyczaj mnie rozciekawił. Marzyłem o możliwości spotkania się z tym ciekawym ptakiem, którego widziałem tylko w muzeum, nigdy na wolności. Ostatnich dni kwietnia wybrałem się na tok cietrzewi, i przez tydzień nie byłem w domu. W tej właśnie porze nadzwyczaj liczny ciąg pustynników pojawił się w mojej okolicy. Jak mnie zapewniano, na wiosennych posiewach widywano niezliczone stada, składające się z 50 do 60 sztuk. Żerowały przez dzień cały na polach i nie bały się wcale ludzi. Jeden z moich sąsiadów, dobry strzelec ale widocznie słaby ornitolog, zjechał takie stadko, w którem było około 100 sztuk, i z wózka na 2 strzały zabił 5 pustynników. Niezwykłe kształty tych ptaków nie zwróciły jednak jego uwagi — a sąd złożony z kilku tamtejszych starych myśliwych, ale widocznie jeszcze mniej biegłych ornitologów, orzekł, iż te ptaki to siewki, z których wyborne może być pieczyste. Katastrofa, o której wspominał szanowny autor artykułu w „Łowcu“ — stała się rzeczywistością. Nazajutrz azyatyccy goście, oskubani, obracali się na rożnie — tylko ich skrzydełka uszły zagładzie i stały się ozdobą damskich kapeluszy. Za moim powrotem, z oburzeniem i z zakrwawionem sercem ujrzałem te jasne dowody popełnionej strasznej anti-ornitologicznej zbrodni. Wszelkie moje najstaranniejsze poszukiwania za pustynnikami były już bezowocne — w całej okolicy już nie zastałem ani śladu tych ciekawych ptaków, pomimo doniesień z rozmaitych stron, że jeszcze i w maju pojedyńcze okazy na polach widywano; ale za autentyczność tych twierdzeń zaręczyć nie mogę. Pewną jest tylko rzeczą, iż nadzwyczaj liczny ciąg tych azyatyckich przybyszów zapadł

na bezleśnej przestrzeni między Rohatynem i Chodorowem, ale dość krótko tam zabawił. Dlatego to nie śmiem dzielić nadziei szanownego autora artykułu o pustynniku — byśmy się w kraju doczekali lęgu tych ptaków; pomimo tego, iż się okazały i w Poznańskiem i w Czechach i podobno w niektórych okolicach Niemiec. Mam to silne przekonanie, iż jakieś gwałtowne prądy wiatru zagnały przypadkowo te ptaki ze Wschodu aż na nasze niwy, ale wątpię, ażeby one chciały pozostać stałymi obywatelami Europy, jak to twierdzą i spodziewają się także niektórzy korespondenci niemieckich czasopism myśliwskich.

To krótkie sprawozdanie i skromne moje uwagi podaję tylko dlatego, ażeby jeszcze bardziej zwrócić uwagę szanownych czytelników „Łowca“ na tego rzadkiego azyatyckiego przybysza — i ażeby zabite przez nich przypadkowo jeszcze okazy pustynników ochronić przed oskubaniem i przed rożnem. W każdym razie pojawienie się tych ptaków było to miłe intermezzo śród letargicznego snu teraźniejszego myśliwych w naszym kraju i śród nieznośnej monotonii tej ze wszech miar anormalnej wiosny, którą — nie mogąc się na niej zemścić w sposób inny — pragnąłem kilku bodaj wierszami oczernić w szpaltach „Łowca“.

L. Starzeński.

Derewnia 12. czerwca 1888.

(Jeszcze pustynnik. — Uwagi o straży leśnej.)

Liczne doniesienia o pojawieniu się pustynnika i zebrane o nim w ostatnim numerze „Łowca“ notatki, z innych pism wyjęte, świadczą dowodnie o ogólnem zainteresowaniu się tym miłym a rzadkim u nas gościem. Jakkolwiek szczerze cieszyłbym się, by pustynnik zaaklimatyzował się u nas, to jednak myślę, że optymistycznie zapatrują się ci, którzy go o to chcą posądzać. Pragnąłbym niezmiernie dowiedzieć się, że się w tym względzie omyliłem i dlatego odzywam się do wszystkich, których ta sprawa interesuje, by raczyli za pomocą „Łowca“ podawać do wiadomości ogółu dalsze spostrzeżenia, odnoszące się do pobytu pustynnika w naszym kraju, jakoteż jego lęgu, który do tej pory nastąpićby już musiał, jeśli gdziekolwiek u nas ptak ten dotąd się zatrzymał.

Podobne notatki interesowałyby zarówno myśliwych jak i ornitologów. W tej myśli przesyłam szanownej Redakcyi „Łowca“ moje spostrzeżenia w tym względzie.

Pustynniki były u nas w Żółkiewskiem w czasie między 2. a 10. maja. U mnie, w Derewni, widywano je codziennie w stadkach od 15 do 20 sztuk, zapadające na piaszczystych pastwiskach gminnych. Ostatni raz widziała straż leśna 10. czerwca stadko z 30 sztuk złożone, ciągnące wysoko po nad lasem w kierunku południowym, przy silnym północnym wietrze. Przez cały czas pobytu pustynników nie strzelałem do nich, nie chcąc ich płoszyć, mimo to dostałem jednego, którego znaleziono na gościńcu z poderżniętem gardłem, widocznie zabitego o drut telegraficzny. W najbliższem mojem sąsiedztwie gościły pustynniki także, a nawet zdaje mi się we większej liczbie niż u mnie. Sąsiad mój p. S. strzelał do nich, jednego zabił a drugiego zbarczył. Zbarczony, wzięty żywcem, żyje dotąd, siedzi w klatce, zajada pszenicę i zdaje się być we wcale dobrym humorze. O jego dalszych losach doniosę później.

Przechodzę teraz do zupełnie innej kwestyi, będącej dla łowiectwa krajowego nie bez znaczenia, to jest do sprawy świeżo zaprowadzonych jednolitych odznak dla zaprzysięgłej straży leśnej lub polnej. Reskryptem z dnia 28. listopada 1887. do l. 67265 ustanowiło c. k. namiestnictwo jednolite odznaki dla zaprzysięgłej straży w całym kraju, przepisujące zarazem najdokładniej, podług jakiego wzoru i z jakiego materyału takowe mają być zrobione. C. k. starostwo w Żółkwi, pismem z dnia 23. grudnia 1887. l. 16504, zawiadomiło u nas wszystkie obszary dworskie, iż pod zagrożeniem kary, nie wolno jest zaprzysięgłej straży używać innych odznak, jak tylko przepisane. Myślę, że celem ustawy było stworzenie w całym kraju zorganizowanej jednolitej straży publicznej — rzecz w zasadzie bardzo dobra — jednak jeśli ma być praktyczną, musiałaby uledz niektórym koniecznym zmianom. Odznakę stanowi owalna tarcza z blachy mosiężnej, na której w środku znajduje się herb kraju, a w około napis: „strażnik lasowy“ względnie „polowy“; blacha przytwierdzona na pasie z cienkiego sukna koloru niebieskiego i czerwonego ma być noszoną na lewem ramieniu. Otóż kardynalna zmiana, jaką uważam w powyższych odznakach za potrzebną, jest, aby prócz herbu kraju i odpowiedniego napisu na tarczy, znajdowała się tam także *ex officio* nazwa odnośnego obszaru dworskiego, względnie gminy, lub wreszcie służbodawcy strażnika. Gdyby nasza straż leśna składała się wyłącznie z ludzi wzorowej cnoty i nieposzlakowanego charakteru, wtenczas ów napis byłby może zbytecznym; wszystkim jednak wiadomo, że w braku innych, przyjmuje się nieraz indywidua, które jakkolwiek w registraturze karnej nie figurują (a więc na zaprzysięgłych strażników się kwalifikują), to jednak wymogom niezupełnie odpowiadają. Dotychczas były w praktyce tylko blachy z herbem lub literami służbodawcy, albo napisem odnośnego obszaru dworskiego i numerem; w ten sposób każdy umiejący czytać, spotkawszy takiego strażnika, wiedział, z kim ma do czynienia. Dziś gdyby mi się zdarzyło przydybać obcego strażnika w moim lesie (co u nas nie jest niemożliwem), byłbym zmuszony prosić go, aby był łaskaw mi się przedstawić, czego nie wątpię, nie zechciałby uczynić, a że go jako straż publiczną zapewne aresztować nie wolno, nie pozostałoby więc nic innego, jak, grzecznie pożegnawszy, pozwolić mu iść dalej. Nie wiedziałbym nawet kogo skarżyć, w razie, gdyby temu strażnikowi podobało się zrobić użytek z broni, którą oczywiście ma przy sobie. Jeśliby nie dało się wprowadzić *ex officio* na tarczy strażnika nazwy obszaru lub służbodawcy, to możnaby może zaprowadzić przynajmniej numera na wzór tych, jakie mają strażnicy policyjni w miastach.

Odnośne starostwa mogłyby całą straż zaprzysięgłą i w powiecie ponumerować, numer *ex officio* na tej zresztą jednolitej tarczy wycisnąć i utrzymywać dokładną ewidencyę tej numerowanej straży. Ten sposób byłby równie do celu prowadzący. W każdym razie sądzę, że chcąc uniknąć nadużyć, trzeba koniecznie dać każdemu możność rozróżnienia jednego strażnika od drugiego; inaczej wytworzymy z tej jednolitej straży, jeśli nie co więcej, to przynajmniej armię jednolitych patentowanych kłusowników.

Co do strony praktycznej przepasek, pozwolę sobie zauważać, że takowych nikt nie będzie w stanie nastarczyć i skończy się na tem, że leśni nosić będą tarczę jak dotąd na rzemieniach. Przepaski zrobione są z bardzo cienkiego sukna, które przy pierwszym zaczepieniu o drzewo musi się podrzeć, a kolory czerwony i niebieski po kilku dobrych deszczach

nie będą się wcale między sobą różniły. Straż, chcąca mieć porządne przepaski, musiałaby je chyba w kieszeniach nosić i ubierać tylko od parady. Dlatego uważam, że jedynie ciemna skórzana opaska byłaby praktyczną.

Tadeusz Starzyński.

Z nad Sanu w czerwcu 1888.

(Zimowla sarn. — Napad dzików.)

Dwie siekierki *alias* 77 lat na grzbiecie swym dźwigając, obecnie zaliczam się do weteranów św. Huberta. Dawniej inaczej ze mną bywało, czynny w łowach brałem udział. Dziś — pocieszam się jedynie obserwacyą wszystkiego, co łowów lub zwierzyny łownej dotyczy. Otóż naocznie dostrzegłszy kilka zdarzeń, dzielę się niemi z szanownymi członkami Towarzystwa łowieckiego. Jakkolwiek doniesienie moje będzie może ową „musztardą po obiedzie“ — bo któż słyszał w czerwcu wspominać o zimie? — jednak piszę.

Miejscowość, którą zamieszkuję, przerzyna rzeka San, płynący, jak na górską okolicę przez rozległą, bo blisko ćwierćmilową płaszczyznę, ujętą ze wszech stron niby w ramy, stromemi, lasem porośniętemi górami. W kniejach tych zwierzyny łownej dość, osobliwie sarn i dzików, które ostatnie w tych latach znacznie się rozrodziły. Trafiają się i wilki, lecz tylko w przechodzie, gdy zima twarda. Tegoroczna zima obfita była w śnieg i mrozy; wszelka zwierzyna dzika mocno biedowała z braku żeru, toż sarny dniowały i nocowały przy stogu siana, który z okien pokoju mego widać jak na dłoni. Z dalowidzem przy oczach rankami i wieczorami śledziłem każdy ruch tego biedactwa, bynajmniej im nie przeszkadzając w konsumowaniu siana, którego, dodam, w braku łąk u mnie bardzo niewiele. Dobrze uważałem, że przychodziły dwa stadka. W jednem było siedm, a w drugiem piętnaście sztuk sarn. Pewnego dnia zerwała się zawierucha. Trzy doby trwając, wiejskie budynki i moje, samo przez się rozumie się, zasypała śniegiem i ów zbawczy dla sarn stożek sienny. Trzebaż było widzieć, jak po ustaniu zawieruchy „konopadziły“ się sarny, do siana dostać się nie mogąc. Im bliżej stoga, tem śnieg większy; nie pomagały grzebania raciczkami i zachodzenia to z tej to z owej strony. Żal mi się zrobiło biedactwa, zwołałem ludzi — i ku wielkiemu zgorszeniu karbownika, dla umożliwienia przystępu sarnom, śnieg od broga odrzucić kazałem. Na wiosnę spostrzegłem, że od stycznia do końca marca, sarny zjadły co najmniej dobrą furę siana. Że lepiej się miały, niż sarny w innych miejscowościach, dowiodła mi „łojność“ rogacza, którego na kuchnię zastrzelić kazałem. Sąsiedzi moi skarzyli się na wielką chudość ubitych przez nich tej zimy tak kozłów, zajęcy jak i dzików.

Przed laty, czytając o napadzie dzików na sioła celem żywienia się kartoflami, zachowanemi w kopcach, podziwiałem bujność wyobraźni autora, ś. p. Wincentego Pola, mając opowiadanie owo za wynik wszystkim myśliwym właściwej żyłki do „pływania“. Ubiegłej zimy przekonałem się jednak o prawdzie słów zgasłego wieszcza. Z 18. na 19. lutego b. r., jak po licznych tropach sprawdzono, stado dzików jednej nocy, propinatorowi mojemu, rozrywszy kopiec, zjadły do czysta 30 korcy kartofli. Po dokonanym czynie wyniosły się w góry.

Dodam, że kopiec ów mieścił się na ogrodzie tuż koło karczmy za dość mocnem ogrodzeniem. Lecz cóż pomoże chruściane ogrodzenie wobec olbrzymiej siły „gwizdu“ dziczego. Dzik pierwszego ataku nie czyni kłami tylko „gwizdem“ (ryjem). Niby taranem uderza ofiarę lub przedmiot; ni pies, ni myśliwy się temu nie oprze. Noc owa była burzliwa, dla tej przyczyny nikt z ludzi łomotu walonego ogrodzenia nie słyszał. W przeciwnym razie byliby ludzie odpędzili najezdników? Nie. Dzik pod względem uporu najzupełniej równa się stworzeniu, którego mięsa Talmud i Koran swym wyznawcom spożywać zakazuje. Trzykroć odpędzony, powraca i swego dokonuje. Co ubito w tym roku dzików starych lub warchlaków, były bardzo chude, a warchlaki wielce opadnięte przez wszy, co jest następstwem głodu z braku żeru w tak ciężką jak w tym roku zimę.

L...

Z Płocka w czerwcu 1888.

(Połów jesiotrów.)

W początkach maja z pod Zakroczymia wyruszyła w dół Wisły wielka wyprawa na jesiotry. Przedsięwzięli ją zawodowi rybacy, wysyłając cały tabor, złożony z krytego galaru, 8 ludzi i potrzebnych przyborów, na wody Wisły w okolice Nieszawy, gdzie w celach przemysłu rybnego, podobnie jak i w innych miejscowościach, dzierżawią znaczne przestrzenie wody. Ludzi, potrzebnych do obsługi sieci, wynajmowano na miejscu połowu.

Do połowu jesiotrów najdogodniejszą jest przestrzeń wody o dnie równem, niezbyt głębokiem, zwłaszcza obok spadzistego skosu przy piaskach, na t. zw. „haku“, którą to drogą najczęściej płyną przerywanym sznurem jesiotry. Upatrzywszy podobną miejscowość, rybacy zapuszczają w wodę 100 do 200-sążniowej długości sieci szpagatowe o wielkich oczach, zwane „drygami“, i prowadzą je z biegiem wody niekiedy na wiorstowej i więcej przestrzeni.

Wyprawa potrwa do św. Jana, a wszelką zdobycz odstawiają na targi warszawskie.

Jesiotr, przedstawiciel rzędu *kostołuskich*, zamieszkuje naprzemian morza i rzeki Europy i Azyi. Znanych jest kilka jego odmian, różniących się głównie kształtem ryja, głowy i szerokością brzucha. Jesiotr, zamieszkujący wody systemu Czarnomorskiego, nosi miejscową nazwę *bielugi*. Ryba ta oprócz mięsa dostarcza ikry na kawior i kleju rybiego. Jesiotry, wpływające do Wisły z zadziwiającą regularnością w połowie kwietnia, zaliczone są do gatunku „zachodnich“ *(Acipenser sturio)*. Przychodzą one tutaj na „tarło“ i płyną do wód Galicyi, zkąd w początku lipca dążą z powrotem do morza.

Okazowe sztuki, złowione w Wiśle, dochodzą do 500 funtów wagi. Najczęściej pojawiają się sztuki ważące 50—120 funtów, przyczem ikra stanowi $^1/_6$ część ogólnej wagi. Jesiotry małe, kilkunastufuntowe, trafiają się niezmiernie rzadko, albowiem młode, w rzekach zrodzone, wychodzą wkrótce do morza, a gdy następnie jako dojrzałe na tarło do rzek przybywają, dochodzą już 30—40 funtów. Wypadki, aby wielkie jesiotry zimowały w rzekach, są bardzo rzadkie; zmusić je mogą do tego tylko jakieś przypadkowe okoliczności.

Charakterystyczne są opowieści i wierzenia o tej rybie starych nadwiślańskich rybaków. Tak n. p. opowiadają oni zabawną bajkę, że jeżeli jesiotra przez 7 lat nikt nie złapie, zjada on dziką gęś i idzie (tj. wyrasta) na wieloryba do morza Lodowatego.

Co do wędrówek jesiotrów, twierdzą rybacy, iż idą one z najgłębszego morza Wisłą do Krakowa, gdzie trą się o

jakiś „słony kamień“ i „chlustają“ przezeń, ażeby kościół N. P. Maryi zobaczyć, poczem wracają „spiące“ do miejsc, z których wyszły.

Istotnie jesiotry zdają się wracać z wędrówki znużone i jakby senne, gdyż nieraz dają się widzieć płynące nieruchomo na samej powierzchni wody. Opowiadano mi, że przed kilkunastu laty pochwycono pod Płockiem 200-funtowej wagi sztukę z łódki, za pomocą narzuconej na ogon pętlicy.

Przy łowieniu wielkiego jesiotra nie zawadzi zachować ostrożności, gdyż ryba ta niepospolitą posiada siłę. Za dowód tego może posłużyć mieszkający pod Płockiem rybak ze złamaną nogą, którego kalectwa nabawił wielki jesiotr przez uderzenie ogonem.

Wiślane jesiotry rybacy dzielą na kilka gatunków, na co, oprócz kształtu głowy, zdaje się, że i wielkość ich wpływa, nadając im osobliwsze nazwy: „kapucynów“, „reformatów“ i „bernardynów“. Ostatnie mają być wedle ich zdania najlepsze.

Dowóz złowionych tu jesiotrów do Warszawy odbywa się koleją warszawsko-bydgowską lub parowymi statkami. Transporta odchodzą regularnie co tydzień, w wigilię dnia targowego, piątku.

Co się dzieje na stacyi w Warszawie, gdy transport nadejdzie, trudno sobie wyobrazić. Około 50 handlarek rybami, wśród wrzasków i przekleństw, wydziera sobie nawzajem z rąk towar, nie targując się o cenę. Następnie całe grono handlarzy udaje się gremialnie na plac za Żelazną Bramę, gdzie od świtu prawie odbywa się ważenie, sortowanie i podział towaru.

Ikrę z jesiotrów w stanie surowym zakupują kupcy kolonialni na wyrób krajowego kawioru, płacąc za funt 50 kop.

Bywają transporty jesiotrów, dochodzące wartości 2.000 rubli. Pomiędzy nimi trafiały się sztuki, ważące niemniej jak 390, 400 i 415 funtów.

K. W.

KRONIKA.

Na zaproszenie Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego raczyli przyjąć urząd delegatów powiatowych Towarzystwa panowie:

Władysław Bzowski w Pantalowicach na powiat Łańcucki.
Tymon Morawski w Kujdańcach na powiat Zbaraski.
Oktaw Doschot w Pałachiczu na powiat Tłumacki.
Leon Krokowski w Delatynie na pow. Nadwórniański.
Włodzimierz Wołoszyński w Nadwórnie na powiat Nadwórniański.
Artur Zaremba Cielecki w Porchowie na powiat Buczacki.
Karol Gostyński w Nawojowej na powiat Nowosądecki.
Napoleon Gołaszewski w Toustobabach na powiat Podhajecki.
Dr. Jan Chomicki w Żurawnie na powiat Żydaczowski.
Dr. Jan Biesiadecki w Jaśle na powiat Jasielski.
Władysław Czerkawski w Gajach na powiat Lwowski.

Na posiedzeniu Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego dnia 23. czerwca zostali na dalszych delegatów towarzystwa zaproszeni panowie:

Franciszek Turowski w Żubraczu i Adam Ziętarski w Rabem na powiat Liski.
Bronisław Macieszkiewicz w Jaryczowie na pow. Lwowski.
Jan de Chataubrien Vivien i Mieczysław hr. Piniński w Soroce na powiat. Skałacki.
Juliusz Aleksander hr. Bielski w Rychcicach na powiat Drohobycki.
Stanisław Pawlikowski w Bereźnicy królewskiej i Kazimierz Winnicki w Turadach na pow. Żydaczowski.
Kazimierz Rudnicki w Strzałkach i Witold Niezabitowski w Łankach na pow. Bobrecki.
Jan Obertyński w Odnowie na pow. Żółkiewski.
Stanisław Mroczkowski w Biezdziatce na pow. Jasielski.
Władysław Przybysławski w Uniżu i Ludwik Szawłowski w Przewłoce na pow. Buczacki.
Kazimierz Jankowski w Siemikowcach na pow. Podhajecki.
Julian kniaź Puzyna w Czarnołożcach na pow. Tłumacki.
Stanisław Weissmann-Zawidowski w Zawidowicach na pow. Gródecki.
Mieczysław Konopacki w Kobylu i Stanisław Kierski w Dobromirce na pow. Zbaraski.
Stanisław Łomnicki w Warężu, Zdzisław Obertyński w Cielążu i Juliusz hr. Tarnowski w Byszowie na powiat Sokalski.
Kazimierz Jaworski w Skwarzawie, Kaźmierz Wierzchlejski w Kaborowcach i Aleksander Weissman w Nuszczu na pow. Złoczowski.
Adam Paliszewski w Skrzyszowie na pow. Ropczycki.
Leon Dembiński w Nowem Siole i Frieser w Lubaczowie na pow. Cieszanowski.
Adam Fink w Komarnikach i Michał Brzostowski w Krakowie na pow. Wieliczka.
Moskwiński w Czermakówce, Małuszyński w Wołkowcach i Kwieciński w Karolówce na pow. Borszczowski.
Albus w Krzeszowicach i L. Nowakowski w Porębie na pow. Chrzanowski.

Karol Rozwadowski w Drohobyczu i Kołopajło w Bilczu na powiat Drohobycki.

Specyalna komisya Wydziału galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego opracowuje właśnie formularz dla szematów statystycznych z dziedziny łowiectwa krajowego i regulamin dla delegatów, które zostaną niebawem wydrukowane i delegatom Towarzystwa rozesłane.

Z Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta we Lwowie. W dniu 30. maja b. r. odbyło się Walne zgromadzenie tego towarzystwa, któremu prezes towarzystwa, p. Bronisław Komorowski, w imieniu ustępującego Wydziału przedłożył następujące sprawozdanie z czynności swoich w ubiegłym roku 1887/8:

„Wielce Szanowni Panowie! Rozpoczynamy rok dziesiąty istnienia towarzystwa naszego, a mając zdać sprawę ze stanu jego w minionym dziewiątym roku, żadną miarą nie możemy się oddawać illuzyi, jakoby rok ten, pod względem dat, jakie przytoczymy w sprawozdaniu niniejszem, oraz rachunkowem, należał do najświetniejszych. Członków czynnych mieliśmy w roku ubiegłym mniej o 21 niż w poprzednim, a więc i dochody mniejsze z udziałów; natomiast bardzo znacznie wypadało nam podnieść wydatek na utrzymanie zwierzyny z powodu niesłychanie srogiej zimy ostatniej, oraz na dozór i urządzanie nowych linij w kniejach.

„Wydatków owych jednak wcale nam żałować nie należy; są one w całem tego słowa znaczeniu produkcyjnemi. Już dziś zawdzięczamy im, że straty w zwierzynie, szczególniej zaś w sarnach, nie są u nas tak znaczne, jak w innych, również szanowanych rewirach obcych.

Z pierwszą zresztą wiosną bieżącą, zarządziliśmy znów na rzecz przyszłości odnowienie we wszystkich rewirach towarzystwa lizanek, rozsadzenia przeszło 800 klgr. bulwy oraz żarnowca, założenie kładek na zbyt uciążliwych przejściach i. t. d., oraz uprosiliśmy pp. leśniczych o zadzierżawienie dla towarzystwa odpowiednich obszarów już zasianego owsa i koniczyny na przyszły zapas zimowy.

„Co się tyczy tak znacznego ubytku członków, w porównaniu z rokiem poprzednim, wyznać nam należy, że i tego faktu przyczyny nie są tego rodzaju, abyśmy wyrażać tu mieli żal za przeszłością. Ubytek ów bowiem spowodowany został przeważnie uchwałami poprzedniego Wydziału, dążącemi do ustalenia porządku wewnętrznego w towarzystwie, do równiejszego rozdzielenia praw i obowiązków na wszystkich członków, tudzież do zaszanowania zwierzyny. mianowicie w sekcyach, dla polowań luźnych przeznaczonych. Z uchwał tych i dziś, jak przed rokiem, towarzystwo nasze może być tylko dumnem. We wszystkich szczerze łowiectwu sprzyjających sferach w kraju, rygory te, jakie umieliśmy sami na siebie nałożyć, znalazły poklask, uznanie i naśladownictwo. Nowe zresztą grono wytrawnych i bardzo szanownych myśliwych, liczące 9 osób, już z pierwszym dniem nowego naszego roku administracyjnego, powiększy znów znacznie nasze zastępy, właśnie owymi rygorami pociągnięte do towarzystwa.

„I pod innym jeszcze względem ubytek członków w porównaniu z rokiem 1886/7. powinien nas raczej napełniać otuchą niż żalem. Gdy bowiem w roku wspomnianym na 87 członków przeciętna wpłaconych udziałów wynosiła zaledwie 15 złr. $5^1/_2$ ct., to w roku ostatnim przy 66 członkach wynosiła ona 20 złr. 44 ct. A jak preliminarz nasz wykazuje, przeciętna ta może być prawdziwą podstawą naszego budżetu, już bowiem przy 75 członkach, których faktycznie od 1. czerwca posiadać będziemy, pokrywa wydatki całoroczne, tak, że niedobór tegoroczny może być umorzony nadzwyczajnymi wpływami z poddzierżawienia rewirów Ostałowieckiego i Czarnohorskiego, na które trudno o amatorów w towarzystwie.

„Kiedy mowa o rewirach, zaznaczamy, że w ubiegłym roku stanowczo już zalicytowaliśmy na rzecz towarzystwa gminne polowania w Weryniu, Uściu i Drohowyżu, dla zaokrąglenia sekcyi naddniestrzańskiej i zabezpieczenia Rozwadowskiej. Natomiast zapadła w Wydziale uchwała, którą przyszły Wydział według uznania może wykonać lub nie, aby od 1. września b. r. zaniechać dalszej dzierżawy gmin, składających I. sekcyę podlwowską, jako ciągle bierną i w najwyższym stopniu nieprodukcyjną. Są to gminy: Kleparów, Hołosko wielkie i małe, oraz Zboiska. Taka sama uchwała zapadła co do gmin sekcyi naddniestrzańskiej pod Brzozdowcami, mianowicie Podhorzec, Kut i Turzanowiec, ponieważ jak sezon długi żaden z pp. członków z polowania luźnego nie korzystał. I w tej mierze jednak przyszły Wydział ma prawo powziąć stanowczą decyzyę. Wreszcie uchwalono w Wydziale zatrzymać na przyszłość dzierżawę Piasków-Zarzyca tylko w takim razie, jeżeli zapisani na to Koło członkowie udziałami swymi pokryją cały koszt utrzymania Koła, albo jeżeli właścicielka Piasków-Zarzyca na przyszłość zgodzi się na przystępniejsze warunki.

„Opieka nad rewirami podlwowskiemi towarzystwa, wykazuje się za rok ubiegły odebraniem 7 strzelb kłusowniczych. Z okolic Naddniestrzańskich i z gór Wydział dotąd nie otrzymał odnośnych relacyi.

„O stanie zwierzyny w rewirach towarzystwa wnioskować można na rok następny dość pomyślnie. Okropna wprawdzie była dla niej zima ostatnia, lecz łagodziliśmy jak się dało jej niedolę, a do jej zaszanowania przyczyniła się nie mało i ta okoliczność, że z zapowiedzianych programem polowań gremialnych, kilka wcale nie przyszło do skutku, a kilka innych, z powodu śniegu, miało wynik nader nieświetny. Przypuszczamy, że stan sarn, prawdziwie piękny w ostatnim roku przed zaspami, przychowkiem tegorocznym uzupełni się do dawnej miary. Zając przezimował nad wszelkie spodziewanie dobrze i dzięki łagodnej wiośnie wywiódł pierwszy pomiot szczęśliwie. Najwięcej zapewne ucierpiały kuropatwy, które jednak, równie jak zając w sekcyach polowania luźnego, oszczędzane już były przez naszych myśliwych od 1. listopada b. r.

„Lis, niestety, ciągle jeszcze jest plagą naszych rewirów, a to pomimo wyjęcia go z pod prawa ochrony, pomimo obław i trutki. Dziki tępiliśmy według sił i ubili sztuk 7. Zaspy śnieżne od stycznia już utrudniały spotkanie się z tem zwierzem, a polowania wiosenne na tego szkodnika pozostawały bez rezultatu.

„Nie pozostaje nam, jak podziękować na tem miejscu wszystkim łaskawym Przyjaciołom towarzystwa, którzy podobnie jak w dawniejszych latach nie przestawali chętną pomocą i radą wspierać usiłowań Wydziału. A więc Świetnym Władzom publicznym, JW. Kuratorowi, W. Dyrektorowi, W. Inspektorowi i wszystkim Panom leśniczym fundacyi hr. Skarbka, W. Sekretarzowi tudzież Nadleśniczemu Przewielebnego Konwentu PP. Benedyktynek obrządku łacińskiego, Zarządom krajowych dróg żelaznych i wszystkim tu niewymienionym serdeczne „Bóg zapłać“.

„Na zakończenie żegnamy cienie dwóch w tym roku wydartych nam przez śmierć dzielnych towarzyszy i prawych obywateli: ś. p. Piotra Dunikowskiego i ś. p. Stanisława Ligęzy. Przez powstanie z miejsc, dajmy Panowie wyraz żalu i czci dla ich pamięci!“

Walne zgromadzenie przyjąwszy do wiadomości powyższe sprawozdanie i na wniosek komisyi rewizyjnej udzieliwszy ustępującemu Wydziałowi absolutoryum z gospodarki finansowej, przystąpiło do wyboru członków Zarządu na rok następny. Prezesem wybrany został ponownie p. Bronisław Komorowski; sekretarzem p. Leon Dziubiński; skarbnikiem p. Alfred Dzikowski. Dalsze wybory członków Wydziału, również jak załatwienie reszty przedmiotów porządku dziennego odroczyło Walne zgromadzenie do drugiego posiedzenia, klóre odbyć się ma w ostatnich dniach czerwca lub w pierwszych lipca b. r.

Towarzystwo łowieckie w Warszawie. Czytamy w „Kuryerze Warszawskim, że już dobiega dwa lata, jak członek zarządu towarzystwa opieki nad zwierzętami, p. Wł. Kępiński, wystąpił z wnioskiem utworzenia towarzystwa łowieckiego pod egidą instytucyi powyżej wspomnianej. Wypracowano obszerny projekt ustawy zamierzonego towarzystwa. Ustawa ta jednak nie zyskała zatwierdzenia. Lecz inicyatorowie projektu postanowili bądźcobądź zamiary swe do skutku przyprowadzić.

W tym celu rozejrzawszy się w ustawie istniejącego w cesarstwie rosyjskiem „Cesarskiego Towarzystwa ochrony zwierzyny“, przekonali się, iż z łatwością będzie można utworzyć filię pomienionego towarzystwa z działalnością dość samoistną w 10. guberniach Królestwa Polskiego. Otóż podjęte w tym kierunku starania zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem, gdyż, jak „Kuryer“ dowiaduje się z pewnego źródła, towarzystwo łowieckie niebawem będzie zatwierdzone.

Inicyatorowie, zawczasu krzątając się o zebranie jak największej liczby członków, mają w tej chwili około 400 podpisów osób, miłujących łowiectwo, a zarazem dbających o prawidłowy zwierzostan w kraju.

Życzymy bratniemu towarzystwu jak najświetniejszego rozwoju!

Pustynnikiem zajmują się bezustannie rozmaite pisma fachowe i niefachowe, a głównym przedmiotem ich badań i relacyj jest obecnie kwestya, czy się Pustynnik zaaklimatyzuje w jakim kraju w Europie i czy się gdzie gnieździ? Jak wiadomo w r. 1863. gnieździły się Pustynniki i wylęgły młode na wyspach szlezwickich Sylt i Fanö; obecnie donoszą również tylko z Szlezwiku o gnieżdżeniu się tych pięknych ptaków na wyspie Föhr. Opisują przytem, że gniazda robią sobie Pustynniki w małych zagłębieniach w żwirowatej ziemi, bez żadnej podściółki. Jaja są szaro-zielonkawe i dość gęsto kropkowane podłużnemi brunatnemi plamkami. Kształt ich jest cokolwiek od kształtu jaj zwykłych odmienny, gdyż są po obudwóch stronach zupełnie równo zaokrąglone.

Pruski minister rolnictwa Lucius, w przypuszczeniu, że Pustynnik osiedli się stale i w niektórych okolicach Niemiec, wydał zakaz strzelania tego ptaka na terytoryach królewskich, a wezwał przytem rejencye, ażeby wpływem swym skłaniały prywatnych właścicieli do ochrony tego ptaka.

Z dat, tyczących się przelotu Pustynników, podajemy jeszcze następujące: W kwietniu widziano je: 24. stadko lecące z zachodu na wschód koło Pirny pod Dreznem; 25. w nocy pod Lipskiem; 26. koło Kalisza w Królestwie; 27. kilka mniejszych stadek na północ od Grossenhein w Saksonii i znowu pod Pirną. Samica ubita pod Lipskiem miała już dość rozwinięte jaja; w żołądku samca zastrzelonego pod Pirną znaleziono owies, trawę i małe kamyczki. 28. kwietnia widziano Pustynniki koło Czerwińska i pod Warszawą; 29. wedle relacyi arcyks. Rudolfa, ubito dwie sztuki koło zamku Görgény-Szt-Imre w Siedmiogrodzie; 1. maja znowu w Saksonii pod Grossenhein i pod Liebschütz, także koło Niederfaulbrück na Szlązku; 2. maja koło Ratzenburga w Lauenburskiem; 3. i 4. maja znowu koło Grossenhein i Schneeberg w Saksonii. Dnia 5. maja o godzinie 9 rano widziano parę, jak w locie uderzyła o drut telegraficzny. „Lot był tak silny i uderzenie tak gwałtowne — opowiada sprawozdawca — że jednemu z ptaków odciął drut zupełnie główkę.“ Dnia 6. maja widziano 60—80 sztuk pod Freibergiem w Saksonii, a około 60 sztuk nad Eiderą, niedaleko Rendsburga.

Daty powyższe i inne, któreśmy już podali w Nr. 6., zebrał kierownik zoologicznego muzeum w Dreznie A. B. Meyer.

W Poznańskiem obserwowano stadko 25—30 sztuk Pustynników w nadleśnictwie królewskiem w Bartodziejach, w powiecie bydgoskim, w rewirze należącym do Salwina.

W Wuszczu na Pomorzu nad samym Bałtykiem (Stolpmünde) znalazł rybak na wybrzeżu cztery bardzo zmęczone i ledwie żyjące Pustynniki. W południowych Węgrzech, koło Ferendia, ubił jednego hr. Ernest Zichy.

Prof. Dr. Maksymilian Nowicki donosi nam, że zbadaniem całej kwestyi przelotu Pustynnika, a szczególniej wyśledzeniem czasu i kierunku tegorocznego ciągu, zajmuje się szczegółowo komitet dla ornitologicznych stacyi obserwacyjnych w Austro-Węgrzech, pozostający pod protektoratem Następcy tronu arcyks. Rudolfa. Komitet ten wezwał swych delegatów do zbierania dokładnych dat o Pustynniku. To też prof. dr. Maksymilian Nowicki w Krakowie jako taki delegat dla Galicyi zwraca się z prośbą do wszystkich tych, którzy w roku bieżącym mieli sposobność obserwować Pustynnika, o nadesłanie na jego ręce możliwie szczegółowych dat co do czasu pojawienia się tego ptaka, ilości stadek, jego osiedlenia, pożywienia, gnieżdżenia, lęgu itp. Daty te będą mogły dać dokładny obraz pobytu Pustynnika w Galicyi i na Bukowinie.

Ci, coby pragnęli pięknego ptaka faunie europejskiej na zawsze przyswoić, przytaczają różne mniej lub więcej trafne argumenta i sądzą że przez ścisłą ochronę Pustynnika da się go skłonić do pobytu między nami. Na poparcie przypominają, że i pośmieciuszek (dzierlatka, *Alauda cristata)* jest przybyszem azyatyckim, a przecież się tak rozpowszechnił, że dziś już razem z wróblami aż na ulice miast i podwórza mieszkań za żerem się zapędza.

Pojawienie się pośmieciucha w większej ilości w środkowej Europie datuje się dopiero od r. 1806. Posunął się on przeważnie wzdłuż gościńców, a lud w Niemczech twierdzi, że go dopiero Rosyanie w r. 1813. tam przyprowadzili. Otóż skoro ten miły ptaszek — mówią ornitologowie — mógł się u nas zaaklimatyzować, może to się stać i z Pustynnikiem.

Tymczasem praktyczni myśliwi nie wielką mają nadzieję, abyśmy mogli faunę naszą Pustynnikiem wzbogacić, bo chociaż się zdarzyło, że się nawet na wyspach szlezwickich gnieździł, przecież wyprowadzona z gniazda generacya nie zdołała się już utrzymać. Klimatyczne stosunki Europy nie sprzyjają mu widocznie. Ten mieszkaniec bezbrzeżnych stepów, niesłychanie wytrwały w locie, zdaje się być nie bardzo wytrzymałym w biegu po ziemi, na co wskazują małe w stosunku do całego ciała, zbyt wątłe i aż po palce upierzone nóżki. Do takiego życia jak n. p. naszej kuropatwy — z którą, ze względu na pewne podobieństwo upierzenia, najczęściej Pustynnika porównują — nie jest ptak ów zupełnie stworzony. Z pod pierwszego większego śniegu, zwłaszcza zaskorupionego, nie zdołałby wcale drobnemi nóżkami pożywienia wygrzebać. Próby z aklimatyzowaniem amerykańskiej przepiórki czubatej nie udały się także z powodu innych klimatycznych warunków.

W tej sprawie pisze nam p. A. Ubysz co następuje: „Pustynnika, burzą do Europy zagnanego, niektórym państewkom niemieckim aklimatyzować się zachciało. Czy im się to uda? Stanowczo twierdzę, że nie. Pustynnik bowiem jak nam wiadomo, jest mieszkańcem stepów i pól Azyi, i nie jest stworzony od natury do zniesienia naszej zimy, a ma przytem właściwości, jak niektóre gatunki naszych ptaków, odlatywania ku ciepłym strefom i chronienia się tym sposobem od pewnej zaguby z głodu i mrozu. Jestże tu możliwa aklimatyzacya? Gdyby nawet ptaki owe zagnieździły się — płód i one zginą w zimie nieochybnie.“

Z tokowisk głuszcowych. Z końcem kwietnia przyjechał arcyksiążę Józef w lasy Spiskie w okolicę Szmeksu na głuszce.

Wynikiem polowania był tylko jeden piękny kogut. W rewirach karpackich na Spiżu skarzono się tej wiosny w ogóle na słabe tokowanie głuszców. Tam, gdzie dawniej 15 do 20 tokujących kogutów spotykano a 6 do 8 ubijano, słychać było tego roku zaledwo jednego lub dwa koguty i oczywiście nie strzelano ich wcale.

Z Bośnii donoszą, że w tamtejszych górskich lasach bukowych jest znaczna ilość głuszców. Tokowanie rozpoczyna się tam około 10. kwietnia, choć tego roku, w skutek ostrej zimy, znacznie później słyszano tokujące koguty. Najlepsze polowanie było między 24. kwietnia a 5. maja.

W Czechach, w lasach kamnickich, należących do dóbr ks. Ferdynanda Kinskyego, na polowaniach, w których brali udział hr. Rudolf Kinsky i hr. Ferdynand Trautmannsdorff, padło 20 kogutów.

O jeszcze jednem, wielce ciekawem polowaniu na głuszca w górnej Karyntyi, czytamy w Celowieckiem „Waidmannsheil“:

Było to w ostatnich dniach lutego b. r. Na obejściu włościańskiem rąbał chłop drzewo. Wtem zaszumiało coś straszliwie nad jego głową. Ledwie spojrzał przerażony, gdy wtem o dziesięć kroków od niego spadł głuszec, a tuż za nim ogromny sęp. Chłop ledwie sobie mógł zdać sprawę, co się koło niego dzieje, gdy wtem chwycił za leżące obok widły i rzucił niemi w czarną, uskrzydloną masę. Rzut był szczęśliwy. Ugodzony czy przestraszony sęp wzniósł się do góry, a odurzony głuszec jął także umykać, lecz zamiast w pola i w lasy, wleciał prosto... w otwarte wrota stajenne. Niegłupi „Seppl“ zatrzasnął wrota i jął wołać na kobiety, żeby mu przyszły pomódz, gdyż chwycił — jastrzębia-kokosznika. Takie było przynajmniej jego przekonanie, a kobietom w to graj, miały bowiem ciężki rachunek z jastrzębiem za pokradzione kurczęta i kaczęta. Rozpoczęło się więc polowanie. Seppl uchylił drzwi od stajni, kobiety fartuszkami pozastawiały przesmyki, nakoniec Seppl wyciągnął gdzieś z pod belki odurzonego głuszca za skrzydła i wyniósł go na podwórze. Wszyscy byli przerażeni tym czarnym potworem i powstało dość silne podejrzenie, czy to nie sam dyabeł. *Stante pede* odbył się sąd doraźny, Seppl zaniósł koguta do kloca, na którym rąbał drzewo i — św. Hubercie przebacz im — głowa głuszca padła pod śmiertelnym ciosem siekiery! Dopiero jak się kogut dostał do garnka, jak się zaczęły schodzić kumoszki i oglądać odciętą głowę i obskubane piórka, pokazało się, że to był najprawdziwszy głuszec, jedyny chyba w tym rodzie, którego spotkał los Maryi Stuart.

Tępienie wron. W Warszawie, z polecenia gubernatora, dziesięciu strzelców ze straży ogniowej w godzinach rannych zajmuje się tępieniem wron w parku belwederskim i łazienkowskim. Oprócz tego kilku chłopców, zaopatrzonych w stosowne przyrządy, wspina się na szczyty drzew i zrzuca gniazda ptaków. Drzewa w parku belwederskim i łazienkowskim są już oczyszczone z gniazd, lecz pomimo tak energicznych „rugów“, wrony nie opuszczają parku i ścielą nowe gniazda.

Warszawski „Przyjaciel zwierząt“ stanął w obronie prześladowanych wron, wykazując ich pożyteczność.

Rozstrzygnięcie pożyteczności lub szkodliwości wrony i gawrona jest w istocie względne, są bowiem pory roku i warunki gospodarskie, wśród których żerowanie tych ptaków staje się pożytecznem, więcej może jednak jest chwil takich, gdzie na ich szkodliwość narzekać wypada. I tak gromady gawronów i wron są bardzo pożądane na wiosnę w czasie orki na gruntach, zanieczyszczonych pędrakami lub myszami. Tożsamo tępią one wiele szkodliwych dla rolnika ślimaków, ale gdy zboże zaczyna dojrzewać, szczególniej owies i pszenica albo groch, to wyrządzają szkodę w dościgającem i dojrzałem już ziarnie i to niemałą. W leśnictwie oddają czasem gawrony znaczną usługę. Niedawno temu lasom sosnowym niedaleko Bogumina zadała wielką klęskę prządka sosnówka *(Gastropacha pini)*. Otóż do pewnej części tych lasów nadciągnęło duże stado gawronów i tak je z oprzędów sosnówki oczyściło, że zaledwo czwarta część tychże pozostała, podczas gdy w sąsiednich lasach kilkadziesiąt razy się pomnożyła. Jeśli przy tej sposobności zrobiły gawrony szkodę leśnikowi przez obłamywania młodych pędów itd., to zawsze bezporównania była większą korzyść z wytępienia owadów.

Myśliwego nie trzeba się jednak o zdanie pytać, bo ten krzywem okiem patrzy się na gawrona, a jeszcze bardziej na wronę. Kuropatwy, przepiórki i inne, szczególniej na ziemi gnieżdżące się ptactwo, ma wiele od nich do wycierpienia. A ileż to razy w oczach gosposi porywa wrona kurczę lub kaczę z podwórza! Wrona nie pogardza i padliną, której gawron się nie chwyta, a nadto, co gorsza, tępi nietylko pisklęta ale nawet jaja po gniazdach. Jeśli np. kaczka zbyt uporczywie na gnieździe siedzi, to wrona umie ją dziobem zmusić do podjęcia przymusowej wycieczki, w ciągu której gospodaruje okropnie w jej gnieździe. Nawet siedzącą na gnieździe czaplę podchodzi z tyłu i bije potężnym dziobem. Te same szkody wyrządza czajkom, kszykom, dubeltom i innemu ptactwu błotnemu. To prawda, że pod dziobem jej znikają także dżdżownice, ślimaki, pędraki, chrząszcze, żaby, myszy — ale nie wynagrodzi tem wcale powyższych szkód, zwłaszcza, że do tępienia najszkodliwszych owadów i dżdżownic mamy mnóstwo miluchnych śpiewaków, które wrona dziesiątkuje.

W tej samej sprawie pisze nam pan S. Mroczkowski z Biedzdziatki co następuje:

„Niejednokrotnie już omawiano kwestyę skrzydlatych i nieskrzydlatych szkodników w łowiectwie, nie pominięto tedy i wron, które jedni za bardzo, inni zaś za mniej szkodliwe uznawali. Na poparcie twierdzenia, że wrona dla łowiectwa jest bardzo szkodliwą, niech posłużą dwa fakta, które w krótkim czasie po sobie, bo zaledwo w dniach paru spostrzedz mi się dało.

„Przechodząc około głębokiego jaru, znajdującego się w czystem polu a zamienionego przed trzema laty sadzonkami różnych drzew w gaik, słyszę naraz jakiś niezwykły przerażający pisk. Biegnę czemprędzej ku miejscu w jarze, z którego głos wychodził — i cóż się tam oczom moim przedstawiło? Oto dwie wrony w niemiłosierny sposób operowały małego zajączka. Odpędzam wrony — gdyż w braku broni nie mogłem winowajczynie doraźnie ukarać — i podnoszę biednego szaraczka w najokropniejszy sposób pokaleczonego, z połamanymi tylnymi skokami.

„W kilka dni później jeden z leśnych zaraportował mi taki sam fakt, z tą tylko różnicą, że zaszedł on w zupełnie innej stronie, i że leśny na niezwykły krzyk jawił się zaraz na miejscu czynu, w skutek czego wrony (także dwie) nie miały czasu zajączka bardzo zmasakrować, tylne jednak skoki także mu połamały.

„Przy tej sposobności dzielę się z braćmi w św. Hubercie tem pocieszającem spostrzeżeniem, które zrobić mi się udało, że na siedm gniazd zajęczych tylko w jednym dwa, we wszystkich zaś innych po trzy młode zajączki znalazłem."

Dwa niedźwiedzie na jeden strzał. Działo się w Galicyi ale — „auf der Waldherrschaft Skole", nic też dziwnego, że czerpiemy rzecz z wiedeńskiej *Jagd. Ztg.*, gdyż bohaterowie wypadku należą do rasy cywilizatorskiej i są w oczach Słowian „niemymi". Opowiadającym jest inżynier p. Alfred Stipanitz, który doniósł swej rodzinie o nadzwyczajnym w annalach łowieckich wypadku. Oto d. 19. października r. z., korzystając z świetnej ponowy, wyszedł on z kilku myśliwymi na polowanie z nagonką. Stał na pół ukryty za pniem drzewa, gdy wtem na 10 do 12 kroków wyszła na niego niedźwiedzica z dwoma piastunami. Szła wolno, nie widząc p. Stipanitza i pędziła przed sobą to paszczęką to łapami oba niedźwiadki. Dopiero, gdy była na cztery kroki oddalona, i popędziwszy jednego piastuna naprzód, postawiła nogę na łomie ażeby przejść go wraz z drugim — p. Stipanitz strzelił. Rozległ się ryk przeraźliwy i niedźwiedzica rzuciła się w kierunku, skąd strzał wypadł. P. Stipanitz odskoczył dwa kroki w bok, lecz w tejże chwili skręciła niedźwiedzica w krzaki i padła, łamiąc je swoim ciężarem. Wychodziło ztamtąd jakiś czas właściwe ranionym niedźwiedziom ryczenie, lecz słabło coraz bardziej i ustało w końcu zupełnie. Zachowując należyte ostrożności, posunął się pan Stipanitz w krzaki i naprzód znalazł nieżywego piastuna, a o kilka kroków niedźwiedzicę. Bliższe badanie okazało, iż jedna kula je powaliła, przeszedłszy przez serca obojga. Niedźwiedzica była na 170 ctm. długą i ważyła 130 klgr. „Wenn's nicht Jaegerlatein ist" — należałoby wypadek ten zaliczyć do bardzo rzadkich w łowiectwie. Może więc sąsiedzi „der Waldherrschaft Skole", którzy nie są „niemi", zechcą nam opowiadanie p. Stipanitza stwierdzić.

Wilk w menażeryi. Duńskie pismo *Danske Avis* podaje z pewnego miasta w Jutlandyi ciekawą bardzo relacyę o przygodzie pogromcy dzikich bestyj w menażeryi, między któremi i wilk się znajdował. Pogromca ów, nazwiskiem John Suresh, liczy zaledwie lat 19, a odznacza się olbrzymim wzrostem i siłą niepospolitą. Dawał on przedstawienie w menażeryi. Na sygnał, dany przez trąby, wstąpił do klatki, gdzie były zgromadzone dwa niedźwiedzie, dwie hyeny, lampart i wilk. Początkowe sztuczki szły dobrze, lecz gdy przyszło skakać przez obręcz ognistą, zaczęła się opozycya. Pogromca skłonił jednak i ciężkie misie i hyeny do skoku, ale wilk odmawiał mu stanowczo posłuszeństwa. Zniecierpliwiony Anglik ściągnął go więc grubym swym charapem — a wilk wówczas, zamiast przez obręcz, skoczył ku gardłu pogromcy. Nastąpiła sekunda straszna. Krzyk przerażenia zabrzmiał wśród publiczności, niektóre panie zemdlały — lecz przytomny pogromca, któremu wilk rozwartą paszczą nie mógł od razu sięgnąć do gardła, chwycił go za szyję, rzucił nim z ogromną siłą o żelazne pręty klatki i prędko z niej się cofnął. Skończyło się tylko na podartej odzieży i lekkiem zadrapaniu od pazurów wilczych. Odważny Anglik nie dał jednak za wygranę; przebrał się w jednej chwili i mimo sprzeciwiania się całej publiczności wszedł napowrót do tej samej klatki. Wilk, potłuczony, upokorzony, okazał się już teraz pokornym i wykonywał wszystko, co mu straszliwy pogromca nakazał.

Daniel na koniu. Niemałego przestrachu nabawiły w tych dniach ułaskawione daniele z lasku Bulońskiego w Paryżu jedno spacerujące w otwartym powozie towarzystwo. Oswojone zwierzęta z gęstwiny wypadały na ulice, przebiegając takowe w różnych kierunkach, nikomu wszakże przytem nie czyniąc szkody. Inaczej jednak odbyły się rzeczy w wypadku omawianym przez nas. Spłoszone zapewne czemś daniele z całym impetem wyskoczyły z zarośli wprost na przejeżdżający powóz. Jeden z nich zdążył jeszcze przemknąć się tuż przed końmi, drugiemu jednak już czasu zabrakło. Postanowił więc tedy parę koni przeskoczyć, ale przedsięwzięcie nie udało mu się, zawadziwszy bowiem nogą o zaprzęgi, znalazł się nagle na grzbiecie jednego z koni. Szczęściem koń nie wystraszył się tak niezwykłego jeźdźca, ale spokojnie doczekał chwili, dopóki szamotającego się daniela nie zsadzono na ziemię.

Ochrona przed włóczącymi się psami. Jenerał-gubernator warszawski wydał w przeszłym miesiącu odezwę, w której ze względu na przepisy o polowaniu wydane, zastrzega, aby psy podwórzowe, do pilnowania trzody etc., nie były inaczej wypuszczane w pole lub do lasu, jak z klockami drewnianymi przepisanej długości i grubości, a nadto wezwał gubernatorów, iżby polecili straży ziemskiej surowego pilnowania owych przepisów. W ten sposób szkodliwość psów błąkających się po wsiach i płoszących zwierzynę o wiele zmniejszoną zostanie.

Krok, godny zaiste naśladowania i w innych krajach.

Łowy na słonie. Jeden z oficerów sztabu gubernatorskiego na wyspie Ceylon tak opisuje odbyte tam niedawno łowy na słonie:

...„Przybyliśmy do „kraalu", do którego 19 słoni zapędzono. Potrzeba było do tego 5000 naganiaczy. Postępowali oni całym równoległobokiem, dzień i noc utrzymywali ognie i byli zbrojni w 3000 strzelb, aby utrudnić słoniom sforsowanie linii. Pomimo tego w 10ciu dniach, w ciągu których trwała nagonka, blisko dwanaście słoni zdołało się wydobyć po za linię. Między zbiegami znajdował się jeden znany ze swej złośliwosci słoń, który już kilkanaścioro ludzi uśmiercił. Ostatnią jego ofiarą był budaistyczny duchowny, który twierdził, że zna sposób zamawiania słoni, lecz gdy się posunął w zarośla ze swemi formułkami, słoń pochwycił go trąbą i urwał mu głowę.

„Kraal" na słonie jest, jak wiadomo, miejscem otoczonem silną palisadą, którą nadto maskują krzakami. „Kraal", do któregośmy przybyli, był nieco odmienny; znajdował on się między dwoma ścianami skalistemi, a przesmyk ten naturalny zamknięto z obu końców silnemi palisadami. Przypatrywałem się z ukrycia przechodowi słoni. Jedno młode, idąc za matką, trzymało się trąbą za jej ogon, ażeby kroku łatwiej dotrzymać.

„Na drugi dzień rano wpędzono je do „kraalu". Były tam krzaki dość gęste, o ile się jednak dało słonie przez gęstwinę obserwować, wydawały mi się one dość spokojne i tylko od czasu do czasu wykonywały daremne ataki przeciw palisadom.

„Najciekawsza część polowania rozpoczęła się dopiero teraz. Wpuszczono do „kraalu" oswojone słonie z tak zwanymi „nooserami", t. j. tymi, którzy zarzucają sznury. Na widok słoni obcych, rzuciły się ku nim samice słoni dzikich, lecz wnet ustąpiły i cała trzoda dzika stroniła z pewną obawą od ułaskawionych swych towarzyszy. Praca przybyszów rozpoczęła się od tego, że z wyjątkiem drzew większych i silnych wyrywały i deptały zarośla. Biegająca w popłochu dzika trzoda pomagała im mimowoli w tej pracy. Po chwili wytchnienia przystąpiły oswojone słonie do właściwej swej czynności. Z niesłychanym sprytem, zbliżając się do zwierząt dzikich i zabiegając im od czoła, ułatwiały uzbrojonemu w dziryt „nooserowi" zarzucenie pętlicy na tylną nogę zwierzęcia. Niedługo potrzebowaliśmy czekać na pierwsze takie zarzucenie. Schwytanego słonia przywiązywał „nooser" do oswojonego i zbliżał się z nim następnie ku drzewu, do którego go przywiązywał. Był to interesujący i wspaniały w swoim rodzaju widok. Szczególniej uderzała mnie przebiegłość i spryt słoni oswojonych, oraz wyraźna przyjemność, z jaką pełniły swój przedziwny urząd poskramiaczy."

Połów ryb do światła jest rzeczą dawno znaną a nawet stoi na indeksie niedozwolonych sposobów tępienia ryb. Co innego na morzu. Rybacy w okolicach Hamburga wpadli na pomysł, aby swe połowy morskie ułatwić sobie światłem i użyli do tego światła elektrycznego o sile 200 świec stearynowych. Połów okazał się tak korzystnym, że niebawem ma być urządzonym oddzielny parowiec do połowu ryb na światło elektryczne.

Hypnotyzowanie raków. W tej chwili, gdy w Warszawie wre walka między lekarzami o hypnotyczne kuracye dr. Ochorowicza, ich skuteczność czy szkodliwość, naukową czy szarlatańską podstawę — pospieszamy opowiedzieć naszym czytelnikom, w ślad za niemiecką *Fischerei Ztg.*, następujące doświadczenia ze stanem hypnozy u raków.

...„Jakoś nie szły mi ryby na wędkę — opowiada pewien rybołowca — więc puściłem się na połów raków. Dawną, prymitywną metodą, która, mówiąc nawiasem, wcale jest zabawną, wydobyłem już dwa do trzech tuzinów raków, gdy wtem przybliżył się do mnie wesoły młynarczyk.

— Daj Boże szczęście! — rzekł — jakże tam panu idzie? Aha, co widzę? raki. O, myślałem sobie, że dziś ryby źle na wędkę pójdą... A to para pięknych raków!

Mówił to jednym tchem, nie dopuszczając mnie do słowa.

— Miałbym jedną prośbę do pana — rzekł w końcu.

— Cóż takiego? Gdyby to tylko nie przechodziło mojej możności...

— Nie paliłem jeszcze dzisiaj. Jeśli pan ma w kieszeni jaką cygarzynę, albo garstkę tytoniu do mojej fajeczki, byłbym bardzo obowiązany...

— Jeśli tylko o to idzie — rzekłem dobywając tytoń — to zaraz skręcę ci kilka papierosów na drogę.

— Ja za to pokażę panu sztuczkę z rakami — odpowiedział młynarczyk biorąc raka do ręki.

— No, no, ciekawym!

Młynarczyk podniósł raka lewą ręką, trzymając go, mimo żarliwej obrony mocno w palcach po za nożycami, prawą zaś ręką głaskał go z góry na dół, od głowy ku ogonowi. Po kilku pociągnięciach opuścił rak szczypce i nie dawał znaku życia. Młynarczyk zaśmiał się, skrzyżował rakowi szczypce i postawił go na głowie. Tę samą sztukę uczynił jeszcze z kilkoma innemi i ustawił wnet cały, bardzo pocieszny szereg raków, stojących na głowach.

— A teraz, baczność! Uważaj pan, przywołam te bydlątka napowrót do życia.

— Jakim sposobem?

— Dmucham tylko mocno.

I w istocie dmuchnął na każdego, a raki, jak gdyby oswobodzone od czaru, poczęły się ruszać, pospadały na nogi i starały się umknąć.

Młynarczyk pochwytał je i wrzucił nazad do kosza.

— A co, czy to nie sztuka?

— Prawda, bardzo piękna — odrzekłem, poczem, dawszy młynarczykowi przyrzeczone cygaretka, pożegnałem go.

Doświadczenie młynarczyka tak mnie rozciekawiło, że począłem sam eksperymentować i wkrótce głaskany rak zasnął. Tak jest „zasnął“, gdyż widocznie miałem tu z zwierzęcym magnetyzmem do czynienia. Hypnoza następuje już po kilku pogłaskaniach. Ruchy ręką odbywa się albo wprost po skorupie, albo cokolwiek ponad nią. Skutek nie zawodzi nigdy; zawsze następuje głęboki sen magnetyczny, z którego za pomocą silnego dmuchnięcia lub gwałtownego wstrząśnienia przywołuje się znów raki do życia.“

Tyle opowiada niemiecki rybak. Postępowanie jest tak proste i niewinne, że można je bez trudności powtarzać. Na wszelki wypadek doświadczenia te mniej będą ryzykownemi niż salonowe popisy hypnotyzowania z dziećmi lub panienkami, którym się potem daje zjadać surowe kartofle zamiast gruszek i t. p.

Opowiadanie starego leśniczego. Że prawdę powiem, świadczę się moim gajowym Mikołą. Pomyślisz pan: Aha! świadczył się cygan swojemi dziećmi! — Owóż nie, bo Mikoła jeśli już „pływa“ w sprawach myśliwskich, to tak, że nie można poznać, gdzie się prawda kończy, a „pływanie“ zaczyna — a więc już wszystkiemu trzeba wierzyć. *Tandem* tedy wracamy z Mikołą dąbrową ku domowi. Naraz blisko skraja w podszyciu zajęczało coś rzewnym głosem.

— Dalipan zając! — odezwaliśmy się jednogłośnie. — Lecz czemu tak płacze?

Aż tu wymyka z krzaków kopyra, a na grzbiecie jego siedzi kot czarny. Nie dość tego, tuż za tym dziwnym jeźdźcem i rumakiem sadzi lisiura. Po ubieżeniu kilkudziesięciu kroków ustał zając, a kot — co bardzo dokładnie widzieliśmy — począł go żreć zębami, pazury w grzbiet wpiwszy. Po chwili jednak dopadł ich i lis, i nie wiele myślący, obcesem rzucił się na obu. Równie i ja, nie wiele się namyślając, palnąłem z jednej lufki w tę dziwną grupę. Padły trzy naraz trupy. Zając miał już dość pazurów, zębów kocich i kilka śrutów — ani drgnął, lis wyziewał ostatki życia, a kot, słynnie twardszy, dłuższy czas wywracał koziołki, miauczał przytem i parskał, ale w końcu zginął.

— Cygan! — mówię do Mikoły, przypatrzywszy się kotowi dużych rozmiarów, czarnemu jak węgiel.

— Taże Cygan — odpowiada gajowy, chłopskim zwyczajem skrobiąc się w głowę — bude złe, imość budut kryczały.

W istocie, kot ten był własnością mojej żony, i cieszył się niewiem dlaczego, wielkimi jej względami.

— Oho! — mówił Mikoła. — Jak raz mynuło kotowy sim lit, maw wandrowaty na Łysu-horu, hde czariwnyciam za werchiwcia maw służyty — no teper uże aus.

Lud prosty stanowczo twierdzi, że koty w pewnym wieku porzucają zagrody i idą na Łysą-górę. Że stare kocury corocznie w porze wiosennej i letniej porzucają dom, jest to faktem stwierdzonym. Stary kocur, skoro tylko wiosna zaświta, idzie w las i pola, na łów wszelkiej zwierzyny. Wraca jednak do domu z upadnięciem pierwszego śniegu. Około Wszystkich Świętych zjawia się niespodzianie na przypiecku miła zguba. Tak samo polował i nasz „Cygan“. A ile on w czasie swej wycieczki szkód narobił — żadnym sposobem obliczyć się nie da.

Lis, a jak się okazało lisica, o wypadłym włosie, miast którego był tylko szary mech, nie powróciła już do karmionych przez się dzieci. Poginęły. Mniejsza o to, ród bo to i tak zbójecki. Oprócz ptactwa i zajęcy, łowi nawet sarny, osobliwie w pierwszej ich młodości. Sam przed laty widziałem, jak koza z sarniątkiem wyszły na zrąb. Koza skubała trawkę lub spasała poziomki; sarniątko poczęło brykać wdzięcznie. Oddaliło się było od matki ku krzakowi leszczynowemu. Naraz bekło cieniuchnym głosem — matka uciekła. Ja podbiegłem ku owemu miejscu i spłoszyłem lisa niecnotę, który czatował w gąszczu i zadławił sarniątko.

Zastrzeloną lisicę ową, że skórka była nie do spostrzebowania, zakopaliśmy. Kota — po solennem zaprzysiężeniu mi przez Mikołę, że dla miłego spokoju przynajmniej przez tydzień, żonie mojej o losie jej ulubieńca nic nie powie — darowałem Mikole na kapczuch. Wszak słynie na całą okolicę z wyrobu kapczuchów... A zresztą niech tam już jejmość i głowę zmyje, jak mi Bóg miły, będę bił każdego kota, którego zdala od mieszkań ludzkich napotkam, bo taki kocur na wędrówkach myśliwskich, to największy szkodnik i tępiciel zwierzyny w lesie, na łąkach i w polu, również jak kotka, gdy ma kocięta, a włóczyć się jej pozwalają.

Uprasza się szanownych Członków gal. Towarzystwa łowieckiego, ażeby zaległe wkładki za rok bieżący jak najrychlej uiścić raczyli.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.